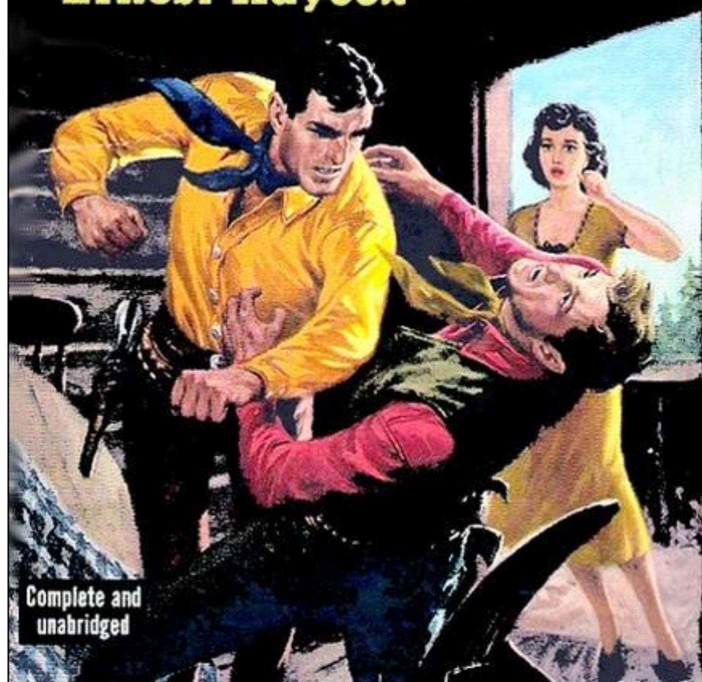

POPULAR
LIBRARY
442
Man To Man And Gun To Gun
HEAD of the
MOUNTAIN
Ernest Haycox
Complete and
unabridged

Ernest Haycox

Napad w górach

(Head of the Mountain)

Pierwsze wydanie: „Esquire”, December 1950
Pierwsze wydanie książkowe: Popular Library, New York, 1951

CZĘŚĆ 1

Hugh Rawson, stojący przy poręczy górnego pokładu *Annie Conser*, obserwował, jak dziób statku wykręcił w stronę brzegu, celując w przystań w Klickitat. Nad rzeką wznosiło się czarne jak smoła urwisko, ściskające miasto w jedną ulicę, której światła kładły się na wodzie, niczym sztachety żółtego płotu. Na tle kruczoczarnego nocnego nieba, pienistym blaskiem lśniły masy gwiazd, a czyste wiosenne wiatry zawiewały lekko z pustych bezmiarów wschodniego Oregonu. W Portland, gdzie spędził miesiąc, klimat był cięższy i bardziej senny; to łagodne, powietrze, owiewające go tutaj, było jak wonny oddech kobiety, z zadowoleniem szepczącej mu o powrocie do domu.

Rawson podniósł swą płócienną torbę i zszedł po przednich schodach, uważnie, bokiem, aby chronić lewą nogę, na której jeszcze nie do końca można było polegać. Ostrożnie zszedł na brzeg, lecz po chwili jego nawyk pośpiechu, wziął nad nim górę, wyciągnął więc rękę, aby przedrzeć się przez tłum w kierunku Klickitat House, stojącego pięćdziesiąt stóp od rzeki. Wypisał kartę rejestracyjną, wszedł po schodach i ruszył ciemnym korytarzem do pokoju. Tam zdjął z siebie płaszcz i koszulę, odpiął wiszący na biodrach pas z pieniędzmi, zmył z siebie brud całego dnia podróży i ponownie ubrał się. Jego skóra miała oliwkowy odcień aktywnego człowieka, ostatnio zbyt długo pozostającego we wnętrzach budynków. Usta miał szerokie z małymi zmarszczkami na środku; nos był przyciężki, a kości policzkowe stanowcze i wysokie. Jego twarz wymagała wypełnienia zapadniętych miejsc i prawdę mówiąc, przydałoby mu się jeszcze ze dwadzieścia funtów na całym ciele, aby powrócić do wagi stu osiemdziesięciu funtów, którą miał wcześniej. Kiedy obrócił się w stronę łóżka, zbyt mocno obciążył lewą nogę i pobudził swe niezagojone nerwy. Mruknął: „Cholera” i wyciągnął z torby swoją .44-kę z kaburą i pasem, ale odłożył ją na bok, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu derringera. Zapinając pod płaszczem pas z pieniędzmi, skierował się do hotelowego holu.

Zarówno hol, jak i bar w Klickitat były mocno zatłoczone. Klickitat było miastem przeładunkowym; skrzynie, beczki i bele towarów, pozostawiane przez parowce na przystani, były odbierane i przewożone dalej, na wschód i południowy wschód, do obozów górniczych daleko za Snake, wzdłuż Powder i Malheur, do Boise Basin, przez kamieniste wzgórza i kolorowe wąwozy do środkowego Oregonu, do samotnych rancz na wyżynnej pustyni, do osad poszukiwaczy złota rozlokowanych efemerycznie obok usypisk odłamków skalnych nad rzeką John Day.

Wstrzymywany głód spadł na niego z pełną mocą, a widok znajomej postaci przy barze - o niesamowicie pulchnych kształtach, w kiepskim

niebieskim garniturze skrojonym jak kwadratowy namiot - pociągnął go do przodu.

Zajął miejsce przy barze, spychając Jake'a Mulveya na mniejszą przestrzeń.

— Dostałeś mój list?

— Dostałem — odparł Mulvey i przyciągnął uniesionym palcem wzrok barmana. Uśmiechnął się potem; jego usta pod postrzępioną osłoną wąsów miały dobroduszny charakter, były małe i czerwone, jak u panny młodej. Miał co najmniej pięćdziesiąt pięć lat, lecz wydawało się, że młodość została na stałe uwięziona w konserwującym go smalcu, który nadawał pulchność jego głowie i stopom. Popatrzył na nogę Rawsona.

— Za wcześnie się za to bierzesz. Trzeba cię porządnie karmić. Zdrówko.

Wypili i przeszli przez hol do sali jadalni. Rawson dostrzegł pusty stolik w dalszym rogu pomieszczenia; kiedy byli w połowie sali usłyszał swoje nazwisko i obrócił się, by zobaczyć przy innym stoliku George'a von Sterna – a w zasadzie von Sterna i Evelyn. Powiedział do Mulveya:

— Idź, zaraz do ciebie dołączę — i ruszył w ich kierunku. Von Stern wstał, złapał dłoń Hugh i uścisnął ją mocno.

— Hughie, cieszę się, że cię widzę… naprawdę się cieszę. Wszystko w porządku?

— Będzie z czasem.

Evelyn powiedziała:

— Nie próbujcie mnie ignorować.

Światła lamp w sali odbijały się w jej oczach. Dłoń Evelyn zacisnęła się mocno wokół jego dłoni, a jej spojrzenie omiotło go z rozgrzewającą ciekawością. Jej usta wyglądały jak pluszowe poduszeczki przyczepione do skóry, spokojne, lecz fałszywie, ponieważ nie była spokojną kobietą. Na włosach Evelyn, które świeciły najjaśniejszym z możliwych brązów, spoczywał żółty kapelusz, a jej suknia była rdzawozłota, o ile złoto w ogóle może rdzewieć, zaś górna jej część była sprytnie połamana i przeformowana. W końcu, ona była krawcową. Była dużą dziewczyną o uprzejmym i opanowanym wyglądzie, lecz w jej oczach lśnił sprzeczny z tym wrażeniem ognik energii, a wokół ust unosił się niespokojny czar, czekający na możliwość wyrwania się spod kontroli. Była kobietą kochającą światło, nie spokojną, nie chłodną; lubiła różnorodność - nieoczekiwane zmiany i kontrasty, które ta różnorodność przynosiła.

— Twoi przyjaciele — powiedziała — zamierzali zebrać się i przyjechać do Portland, by się z tobą zobaczyć, ale droga z Ophiru była okropna. — Zabrała dłoń; lecz jej zainteresowanie nie słabło. — Zjedz z nami.

— Mam sprawę do Mulveya.

— To może głupie pytanie — powiedział von Stern — ale czy masz jakieś pojęcie, kto zestrzelił cię z siedzenia?

Rawson zakołysał ciałem w przód i w tył.

— Posłuchaj. Słyszysz skrzypienie stawu biodrowego? Kiedy będę jechał, nie będę wiedział, czy to grzechocze dyliżans, czy ja.

Uśmiechnął się do Evelyn, a w odpowiedzi ona rzuciła mu swój uśmiech. Przyglądał się, jak rośnie on jej na ustach i utrzymuje się na

stałym poziomie; przechylił potem głowę i zdawał się obserwować ją jakby z daleka, a następnie machnął jej ręką i odwrócił się. Evelyn patrzyła, jak idzie między zatłoczonymi stolikami, lekko utykając, od czasu do czasu przytrzymując się stolika, by ustabilizować swe kroki.

Powiedziała:

— Jeśli to już na zawsze, nigdy więcej nie pomyślę, że w tym świecie może być coś dobrego.

Powiedziała to z mocą, która ściągnęła na nią spojrzenie von Sterna.

— Myślałem, że to go trochę otrzeźwi. Nie otrzeźwiło. Nigdy na nic nie zwracał uwagi.

Dziewczyna oderwała wzrok od Rawsona, położyła dłonie na stole i przechyliła głowę.

— O nie — powiedziała, wypowiadając słowa leciutko jak piórko — on się zmienił. George, kto mógł go tak bardzo nienawidzić, żeby strzelić do niego w czasie jazdy? On nie ma tego rodzaju wrogów.

— Szukali skrzynki ekspresu.

— Czy to mogli być Pajuci?

— Indian nie interesuje złoto.

— Złoto to straszna rzecz — powiedziała.

Kolor oczu von Sterna, gęsty kawowy brąz, był doskonałą zasłoną, za którą idealnie kryły się jego wszystkie emocje; nawet gdy wyłaniały się na powierzchnię, nigdy nie były całkowicie wolne od pewnej rezerwy. Miał poważną, brązowawą twarz, był mocno zbudowany i silnie umięśniony. Jego przystojne, kręcone, czarne włosy, zawsze były lekko rozwiane, tworząc wokół głowy otoczkę; ubierał się starannie, był ogolony i zadbany; palec wskazujący jego lewej ręki okalał pierścionek z brylantem, wielki kamień osadzony w złotej oprawie o kształcie pyska węża. Mówiąc spokojnym tonem, obracał diament z boku na bok, obserwując błysk uwięzionego w nim płomienia.

— Złoto może wszystko, a ludzie zrobią wszystko dla niego. To największy twórca - największy niszczyciel. Nie znam niczego, co miałoby taką siłę jak ono, a siła jest tym, czego wszyscy pragniemy.

Rawson zaproponował Mulveyowi:

— Pojadę do Head of the Mountain i przejmę lejce jak poprzednio.

— Odpocznij sobie kilka tygodni w Ophirze i nabierz sił — odparł Mulvey.

— Muszę znaleźć tego człowieka.

— To było sześć tygodni temu, a kraj jest pełen włóczęgów i nie ma żadnych śladów. Chyba, że wiesz, kto to zrobił.

— Ani przez chwilę go nie widziałem. Kiedy strzelał, był za drzewem.

— Może chciał oddać strzał ostrzegawczy i trafił cię przez pomyłkę.

— Z odległości dwudziestu stóp? Nikt nie może aż tak słabo strzelać. A gdyby chodziło mu tylko o skrzynkę ekspresu, nie postrzeliłby woźnicy i nie spłoszyłby koni, co rozpędziło dyliżans, który pomknął w diabły, dalej drogą. Może chciał zdobyć zawartość skrzynki, ale przede wszystkim chciał

zabić mnie. W tym roku wywieziemy z Ophiru sporo złotego pyłu. Spróbuje ponownie - ten sam pomysł, co poprzednio - a ja będę na koźle. Jeśli ja go nie dopadnę, on dopadnie mnie.

— Trudna gra — zauważył Mulvey.

Rawson skrobał paznokciem po obrusie w tę i z powrotem, uważnie obserwując ruchy swej dłoni i szukając myśli, która utrzymałaby się na tyle długo, by dało się ją uchwycić słowami. Miał dwadzieścia pięć lat, ale doświadczenie nie wyostrzyło ani nie utwardziło jego twarzy, a jego oczy, wyjątkowo niebieskie, pozostawały spokojne. Pokręcił głową.

— Ten człowiek to jedynie para czerwonych oczu obserwujących mnie z krzaków. Raz spudłował, ale czai się gdzieś tam dalej i spróbuje ponownie. To tak samo jakby mi powiedział, że nie jestem wystarczająco bystry, by pozostać przy życiu. Mnie jednak ono bardzo interesuje.

— Za długo leżałeś w łóżku i za dużo myślałeś. Połknąłeś haczyk. Poczekaj tylko, a wkrótce marmurki zaczną wisieć ci wokół brzucha, a gałki oczne staną się jakby były pełne smoły i igieł.

— Przejmę z powrotem kurs od Barta Lennona — powiedział Rawson — ale chciałbym wykorzystać go jako pomocnika, gdy będę musiał trochę powęszyć po okolicy.

— W porządku — zgodził się Mulvey. Rozsiadł się wygodniej w krześle, czubkami palców dłoni tworząc przed oczami tipi. Spojrzał przez czubki palców na Rawsona. — Parę lat temu nigdy nie mieliśmy żadnych większych problemów, może jakiś napad lub dwa, ale nie było się czym przejmować. Widzę, że robi się coraz gorzej. To stara historia. Gdy tylko jakiś obóz okazuje się być bogaty, zewsząd zjeżdżają się ci źli, drobni kanciarze zaczynają zbierać się razem i wkrótce powstaje gang, którym kieruje jakiś cwaniak. Myślę, że tak właśnie jest w naszym przypadku.

Gdy wychodzili z sali jadalnej, Rawson zauważył, że Evelyn i von Stern już wyszli. Mulvey powiedział:

— Do zobaczenia rano — i ruszył przez hol, podczas gdy Rawson wrócił do baru, aby kupić sobie zapas cygar. Zapalił jedno i wyszedł z baru, zamierzając zakończyć kolację spacerem wzdłuż głównej ulicy miasta. Mijając hotelowy salonik, zajrzał do środka i zobaczył siedzącą tam Evelyn Harvey, zwróconą twarzą do holu; była sama.

Gdy wchodził do środka, wyjął z ust cygaro, trzymając je w dłoni; spojrzał w dół i zauważył niepewność wokół jej ust. Wykonała lekki gest ręką, usiadł, odwrócił się do niej, i w tej samej chwili przeszła przez niego fala uczucia, jakby jesienne liście zostały uniesione przez zawirowanie wiatru. Powiedziała:

— Pomyślałam sobie, że miło będzie wyrwać się na trochę z Ophiru. George musiał wyjechać, więc pojechałam razem z nim. Ale trzy dni tutaj w zupełności mi wystarczą. Z przyjemnością wrócę.

Wpatrywał się w swoje cygaro. Miesiąc spędzony w łóżku wybielił mu ręce i zmiękczył skórę na dłoniach. Było jasne, że chciała, aby jak najszybciej dowiedział się, dlaczego ona i George są razem w mieście. Uniósł wzrok i zauważył, jak uważnie obserwowała jego twarz. Skinął przytakująco głową. Zaskoczyło go, że uważała za ważne, aby mu

cokolwiek wyjaśniać; była wystarczająco dorosła, by prowadzić własne życie.

Wskazała na cygaro.

— Chcesz to wypalić. Chodźmy.

Chwyciła go za ramię i wyszli na ulicę rozświetloną żółtymi latarniami. Popatrzył na nią, jego uśmiech przebijał się przez plamki cienia.

— Wszystko było w porządku przez ostatni miesiąc?

— Tak — odparła — i miło, że się zainteresowałeś. Poczekaj chwilę.

Skręciła do sklepu. Włożył ręce do kieszeni i oparł ramię o framugę, obserwując to, co działo się w środku. Światła sklepu, odbijające się od jej brązowej sukienki, tworzyły wokół niej iskrzącą się poświatę. Zrobiła zakupy, wyszła i przyjęła jego ramię.

— Noc jest taka piękna — mruknęła, dostosowując swoje tempo do jego miarowego kroku.

Podążali dalej ulicą, aż światła sklepów i ostre dźwięki miasta pozostały nieco za nimi z tyłu, otoczyły ich cienie oddalonych od siebie szop, a ulica zmieniła się w drogę, poznaczoną koleinami głębokimi jak bruzdy po pługu.

— Ból to straszna rzecz — zauważyła.

— Po jego ustąpieniu opada kurtyna i nie można już sobie przypomnieć tego, jak bardzo było źle. Inaczej wszyscy zmienilibyśmy się w tchórzy.

— Coś jednak po sobie zostawia. Twój głos nie jest już taki sam. Twój uśmiech też nie.

— To wynik leżenia w łóżku i zbyt długiego rozmyślania. Co u wszystkich? Jak tam Ad Carrico?

— Ktoś musi z nim porozmawiać.

— Znowu to? No cóż, to żona Easterline'a, nie moja.

— To smutne. Smutne dla nich wszystkich.

— Nie wiem, czy w tym tkwi błąd, Ada czy Beth Easterline.

— Nie mówię, że to jest czyjkolwiek błąd.

Zawrócili i ruszyli z powrotem w kierunku początku chodnika i pierwszej błotnistej plamy miejskich lamp. Zatrzymał się i obrócił ją, a jej przytrzymane ciało spoczęło lekkim ciężarem, napierającym na jego rękę. Stała bez ruchu, uśmiechnięta i czujna.

— Ktoś musiał tam popełnić błąd — stwierdził.

— Ona zawarła złą umowę z Easterlinem, a ty uważasz, że powinna jej dotrzymać. To mądre posunięcie, ale ona nie będzie taka mądra. Wie, że to nie może trwać długo, bo Ad zostanie kiedyś przeniesiony, ale to jak ze śmiercią - nie umrze, dopóki nie będzie musiała.

— Jeśli to jest aż tak poważne — odparł sucho — to może lepiej, żeby wyjechali stąd razem.

— Zrujnowałby sobie karierę oficera armii, bez względu na to, jak by to rozwiązali.

Sięgnął drugą ręką i objął jej ramiona, próbując przez cienie dostrzec wyraz twarzy dziewczyny, wciąż odbierając łagodny nacisk jej ciała od wewnętrznej strony jego uścisku. Opuścił ręce, zobaczył, jak łapie równowagę i usłyszał szybkie drżenie śmiechu w jej gardle. Ponownie wziął ją w ramiona, a ona natychmiast zbliżyła się do niego, unosząc

głowę, aż zobaczył wyraźny uśmiech; śmiech zdawał się przez nią przepływać, gdy ją pocałował; dłonie Evelyn spoczęły lekko na jego ramionach, a jej usta spotkały się z jego ustami i pozostały tak przez chwilę, po czym odsunęły się. Obróciła go i poszła z nim w stronę jaśniej świecących świateł budynków.

— Witaj w domu, Hughie.

Później, będąc już sama w swoim pokoju, stanęła przed lustrem na toaletce; położyła ręce na blacie, pochyliła się do przodu i patrzyła, jak rysy jej twarzy z wolna wracają do normalnego wyglądu. Jej usta były ciągle cięższe, przypominały gąbki, które powoli się nasycają; jej twarz była żywa, nie po prostu przyjemna, ale wyostrzona, jakby dotknęło jej muśnięcie ostrego powietrza; źrenice jej oczu były duże i miały w sobie silny blask. Była to twarz kobiety, która została zbyt mocno pobudzona, która liczyła na zbyt wiele. Nie miał pojęcia, co jej zrobił; w tej chwili bez wątpienia był już w barze, miło spędzając czas z innymi mężczyznami, zapominając o niedawnej scenie.

Nie mogła jednak winić go za to, że nie wiedział czegoś, z czego jeszcze niedawno ona sama nie zdawała sobie sprawy. Poznała go i polubiła rok wcześniej, jadąc z Corning go Ophiru, jednak nie uważała go za kogoś więcej niż beztroskiego, przystojnego młodzieńca zadowolonego ze swojej pracy. Cała reszta rozwijała się w niej bez jej wiedzy, aż do czasu jego wypadku. To oraz jego nieobecność, wstrząsnęły nią; widok Hugh Rawsona wchodzącego do jadalni wywarł na nią większy wpływ, niż myślała, że to możliwe, a fakt, iż celowo czekała na niego w hotelowym salonie, był ostrzeżeniem, że coś się z nią dzieje.

Odwróciła się od lustra, niespokojna i wcale nie szczęśliwa. To było zbyt niepewne; to musiało wywoływać w niej ból. Patrząc na przyjaźń von Sterna z nią, i jej akceptację tej relacji, Rawson nabrał wobec niej pewnego dystansu. Był uprzejmy, ale czuła jego obecność.

Podeszła do okna, by wpuścić chłodne, słodkie, nocne powietrze i zaciekawiona przyglądała się, jak nocny strażnik idzie wzdłuż kwartału ulicy i skręca za róg. Na rogu George von Stern stał z jakimś niewielkim mężczyzną, który mówił coś bez przerwy, a von Stern słuchał, od czasu do czasu tylko kiwając głową. Tysiące razy widziała go w Ophirze stojącego w takiej postawie, wypytującego ludzi o to, co wiedzą, a gdy nieustannie powtarzał tę scenę, dostrzegała coraz to nowe drobiazgi, które przybliżały ją do ostatecznej oceny jego osoby. Solidna siła, która początkowo tak ją pociągała, po lepszym jego poznaniu, stała się czymś zupełnie innym, a z cichych zakamarków jego natury, niegdyś nadających mu pozory dojrzałości i tajemniczości, obecnie wypływał dziwny nurt ukrytych myśli, które ją niepokoiły. Lubiła go za szarmanckość, wiedzę o świecie i zrozumienie dla niej, i smutno było jej patrzeć, jak to mija. Zmienił się, podobnie jak ona i Rawson. Nic nie pozostało takie samo.

Ogolony, nakarmiony i radosny, z pachnącym cygarem między zębami, Rawson wkroczył w chłodny, jasny poranek, by znaleźć przed drzwiami

Klickitat House dyliżans, roztrzęsiony pojazd Concord zaprzężony w cztery półdzikie, szarpiące się w uprzęży, konie. Czekający na siedzeniu woźnicy Barney Rheinmiller utrzymywał je w ryzach za pomocą lejców. Barney był Holendrem o masywnych ramionach, kamienno-szarych oczach i kwadratowej twarzy, która nie miała w sobie więcej animuszu niż garbowana skóra. Sześćdziesiąt mil drogi między Klickitat i Head of the Mountain odciśnięte było w jego umyśle fenomenalnie dokładnym obrazem, z każdym zakrętem, wzniesieniem, dołkiem i zagłębieniem, i nawet w najczarniejszą noc czytał cienie drogi tak, jak inni ludzie czytają zadrukowane strony. Uśmiechnął się do Rawsona.

— Masz dziurę w głowie, więc wracasz do powożenia. Gdzie są pasażerowie?

Przybyli z hotelu - komiwojażer z Portland, Ack Trubo - hodowca bydła ze Skull Valley, jakiś nieznajomy, von Stern i Evelyn. Inni pasażerowie weszli do pojazdu, a Rawson wspiął się na wysokie siedzenie. Rheinmiller zwolnił hamulce i wydał ostry okrzyk, który sprawił, że konie natychmiast rzuciły się do biegu wzdłuż ulicy; dalej droga skręcała ostrym łukiem - który dyliżans pokonał z gwałtownym wstrząsem - i wspinała się na urwisko za miastem.

Pół godziny później dyliżans dotarł do krawędzi wyżyny i zostawił za sobą wąwóz oraz rzekę. W kierunku południowym, pozornie niczym niezmącona, porośnięta bylicami równina, ciągnęła się mila za milą w stronę jakby maźniętej węglem drzewnym smugi gór, a droga biegła przez nią, dwiema koleinami wyżłobionymi na stopę głęboko w lekkiej jak popiół glebie. Jasne słońce wznosiło się coraz wyżej na niebie, wysysając poranny chłód, wiał lekki, zmienny wiatr.

— Cholernie piękny dzień — powiedział Rheinmiller.

— Każdy dzień jest dobry, jeśli człowiek może wstać, by go zobaczyć — odparł Rawson.

Rheinmiller jechał, nie zwracając uwagi na ciągłe kołysanie dyliżansu na przednich i tylnych pasach; przeklinał poszczególne konie i utrzymywał stałą prędkość ośmiu mil na godzinę w wijących się koleinach. Rawson rozsiadł się wygodnie na siedzeniu, które po miesiącu spędzonym w łóżku wydawało mu się twarde jak kamień. Dyliżans, pędząc swoim stałym tempem, pozostawiał za sobą w słońcu prostą linię kurzu, wiszącą nieruchomo jak okiem sięgnąć. U Birdów, gdzie zmieniono konie, pozostawili za sobą ostatnie ślady osiadłego kraju, a droga zanurzyła się w bezmiarze przestrzeni, prosto jak strzała zmierzając w stronę gór, tak niewyraźne rysujących się w oddali.

O czwartej droga skryła się w szczelinie w lawie, biegnącej przez równinę jak kresa, i dotarła do kolejnego zajazdu skrytego przed wiatrami. Wkrótce nowy zestaw koni rozstawnych pociągnął dyliżans przez słabnący blask późnego popołudnia w kierunku miejsca, w którym nastąpiła drastyczna zmiana widoku. Odległe góry nabrały bardziej materialnych kształtów i stopniowo przysuwały się coraz bliżej, aż o siódmej pustynia urwała się na porośniętych drzewami zboczach podstawy gór, tak jak morze urywa się na liniach brzegowych lądów. Droga skręciła po raz pierwszy od pięćdziesięciu mil i zniknęła wśród sosnowych pagórków,

wyrastających w wyższych partiach w ogromne, surowe skały. Z wysoczyzn spływał potok, który natychmiast ginął w pustynnej, wysysającej wodę ziemi; obok potoku, oparty o las, stał zajazd O'Fallena.

— Dziesięć minut po czasie — zauważył Rheinmiller. — Ta klacz, Bessie, trzymała się naprawdę dzielnie.

Rawson zeskoczył z kozła, by tchnąć nieco życia w swoje odrętwiałe nogi. Pasażerowie wysiedli niewyspani i zmęczeni, a von Stern odwrócił się, by podać rękę Evelyn. Zeszła lekko na ziemię i od razu popatrzyła na wzgórza, a jej twarz ożywiła się na widok tych potężnych wyniosłości.

— Zaczynają się góry – od razu to czuję.

W oczach zamigotało jej światło zajazdu. „Światło, jakikolwiek rodzaj światła, zawsze jej szuka", pomyślał Rawson.

Weszli do pojedynczego pomieszczenia w zajeździe i zasiedli do kolacji. Rawson zwrócił się do Evelyn.

— Ładna sukienka.

— Najwyższy czas, byś to zauważył.

— Nie moja sprawa, zauważać takie rzeczy — odparł i zapalił cygaro.

— To sprawa każdego mężczyzny.

— Niektórych tak, ale nie wszystkich.

Von Stern siedział w milczeniu nad swoją kawą, obserwując tych dwoje w wycofany sposób. Ciepło panujące w pomieszczeniu, długa jazda lub ciężkość jego myśli, zdawały się go męczyć. Od czasu do czasu jego spojrzenie padało na Rawsona. Evelyn dotknęła jego ramienia.

— Hugh wygłasza do mnie przemowę.

— Mam nadzieję, że ją rozumiesz. Ja nie.

— Rozumiem — odparła.

Barney Rheinmiller postawił kubek z kawą i spodek na talerzu, położył na nich nóż i widelec, po czym odszedł od stołu.

— Każdy, kto chce ze mną jechać, lepiej niech idzie — oznajmił.

Evelyn wstała i wyszła z pomieszczenia, a za nią von Stern, Rawson i komiwojażer; ranczer oraz nieznajomy zostali w zajeździe, obaj mieli wczesnym rankiem wyruszyć konno czterdziestomilowym szlakiem w inną część gór. Noc kładła się ciężarem na ziemi, gwiazdy świeciły jasno, a góry rozciągały się przed nimi czarną ścianą. O'Fallen czekał obok nowych koni, trzymając lejce w dłoni. Von Stern wspiął się na koło i usiadł obok Rheinmillera. Komiwojażer przeszedł obok dziewczyny i wsiadł do powozu. Rawson zwrócił się do O'Fallena.

— Pajuci kręcą się w okolicy?

— Za wcześnie jeszcze. Nie pościągali ciągle z pleców zimowych kożuchów. Widziałem jednego w zeszłym tygodniu. Oddałem strzał. Daleki strzał. Chybiłem.

Rawson odrzucił cygaro na bok i wszedł za Evelyn do dyliżansu.

— Trochę się prześpię.

— Usiądź tutaj. Mam koc.

Usadowił się koło niej, na tylnym siedzeniu i zaparł swoje długie nogi pod podnóżkiem, a nagły pęd koni rzucił nim na wyściółkę siedziska. O'Fallen krzyknął coś na pożegnanie, światła zajazdu zgasły, zaś dyliżans wjechał na wznoszącą się górską drogę, zanurzając się w głębokiej

ciemności i gryzącym chłodzie górskiego lasu. Późno w nocy obudziło go niespokojne kręcenie się Evelyn, złożył z powrotem swoją połowę koca, otulając jej ramiona i usłyszał jej lekki protest. Odparł:

— Nie ma sensu, żebyśmy oboje musieli w połowie marznąć.

Skulił ramiona, chroniąc się przed przeciągiem i patrzył, jak pierwsze światło poranka powoli rozprasza gęstą noc. Przy Roughneck Creek zaczęły być już widoczne pojedyncze drzewa; do piątej, wczołgując się pod górę cienkich jak włosek zakrętów Jumpoff Joe, dzień zalał świat bezsłoneczną, perłową poświatą. Dyliżans dotarł na szczyt tego wzniesienia, wjechał w wąskie zakręty Echo Canyon, a o siódmej wjechał na łąkę przy Head of the Mountain i zatrzymał się przed zajazdem Lasswella.

To był koniec zmiany Rheinmillera, który, z czerwoną twarzą widoczną ponad obszernym wojskowym szynelem, rzucił lejce czekającemu Lasswellowi i zszedł z kozła jak zirytowany niedźwiedź wycofujący się z drzewa. Bart Lennon, o srebrnych włosach i srebrnych wąsach na tle spokojnej, brązowej twarzy, stanął w drzwiach zajazdu Lasswella, gdy tylko zobaczył Rawsona. Chwycił Rawsona za rękę i energicznie nią potrząsnął.

— Nie spodziewałem się ciebie jeszcze przez tydzień. Dobrze się czujesz?

— Świetnie. Jak ryba w wodzie.

Rawson odwrócił się i podał rękę Evelyn, gdy schodziła ze stopni. Wstrząsy podczas jazdy i sztywność ciała trochę ją rozchwiały i przez chwilę przytrzymała się Rawsona, śmiejąc się z samej siebie.

— Cześć, Bart.

— Napijcie się kawy i rozgrzejcie się — powiedział Bart Lennon.

— Dwadzieścia minut na śniadanie — oznajmił Rawson. — Od tej chwili siedzicie za woźnicą najwyższej klasy.

— Tobą czy mną? — spytał Bart.

— Myślisz, że wróciłem, żeby zajmować się praniem ubrań?

Von Stern i komiwojażer stali w milczeniu. Wyblakłe, niebieskie oczy Barta Lennona przyjrzały się Rawsonowi, a jego usta ułożyły się w uprzejmy uśmiech starego człowieka.

— Napuszony jak wrona, co? I gotów dziobać kogo popadnie. Zjedz śniadanie.

Od zajazdu Lasswella rozciągał się górski przesmyk, którego wiosenne trawy pokryte były rosą, połyskującą w słońcu tęczowymi blaskami. Otulony dookoła sosnowymi zboczami i muskany cieniem szczytów wznoszących się jeszcze wyżej na tle błękitnych bezmiarów nieba, leżał jeden z setek takich miniaturowych parków przyrody rozsianych w tej plątaninie gór. Droga do Ophiru biegła żółtym szlakiem przez trawę, od czasu do czasu mijając niewielkie kępy porozrzucanych drzew. Resztki chłodu zniknęły z powietrza, a zapach gór - sosnowej żywicy, pachnącego leśnego dywanu i wilgotnych roślin poszycia, w których, w pozbawionych

słońca mrokach, spoczywało dziesięć tysięcy lat leśnej pleśni - silnie otoczył Rawsona, tak dobrze pamiętany, tak bardzo wytęskniony, tak wspaniale nadający się do delektowania się nim w milczącej błogości. Rawson jechał, kołysząc swym ciałem w rytm dyliżansu; krzyknął energicznie na najbliższego konia pociągowego, chytrze markującego pracę w uprzęży.

— Jakieś zmiany, Bart? — spytał Lennona.

— Bagno jest dosyć mokre. Z tym powrotem, to twój pomysł, czy to Mulvey cię do tego popchnął?

— Mój.

Lennon schylił się, by ponownie zapalić fajkę pod osłoną klapy płaszcza. Usiadł na siedzeniu, skrzyżował nogi i splótł ręce na karku.

— Nawet przez chwilę nie widziałeś tego faceta, zanim strzelił do ciebie?

— Nie.

— Tamtego dnia w tych drzewach mógł siedzieć jeden lub nawet kilkunastu ludzi. Kiepskie widoki, Hughie. Jakie masz zamiary?

— Ścigać go.

— Nie wiesz, kogo masz szukać.

— Będę liczył na jakieś przełamanie.

— I będziesz siedział na koźle trzy razy w tygodniu, jak kupa mięcha? To nie ma żadnego sensu. Kiedy strzelił, był dwadzieścia pięć stóp ode mnie. Znalazłem to drzewo i zmierzyłem odległość. To za blisko, żeby to był przypadek i nie rozumiem, dlaczego nie trafił cię lepiej. Kto cię tak nienawidzi?

— Myślę, że to był celowo spaprany strzał, który miał mnie przestraszyć. To więcej niż jeden człowiek. Uważam, że to jakiś gang, planujący coś na przyszłość.

— Też tak uważam. Nie przewozimy złotego pyłu częściej niż raz na cztery kursy. Skąd jakiś człowiek gdzieś tam na Camas Marsh miałby wiedzieć, który kurs warto zatrzymać, jeśli nie miałby kogoś, kto obserwowałby dla niego, co się dzieje w Ophirze? To już co najmniej dwie osoby - obserwator i człowiek, który strzelał. Skrzynię pakujemy dopiero rano, przed odjazdem. Do tego czasu nikt nic nie wie. Ale kiedy podnosimy skrzynię na siedzenie, każdy może łatwo dostrzec, czy jest ciężka, czy lekka. To jest, na pięć minut przed odjazdem. Obserwator, korzystając ze szlaku przez grzbiety górskie, mógłby skrócić sobie drogę do bagna o pół godziny.

— Ten interes ze złotem to raczej grubsza sprawa. To nie jest gra dla drobnych płotek - to gra dla lepszych cwaniaków, a on ma jeszcze pomocników. Chcę ci powiedzieć, co o tym wszystkim myślę, Bart, ale później, w obozie.

— Mogę w tym siedzieć, a wtedy podasz mi rękę.

— W wieku sześćdziesięciu pięciu lat, po co by ci było tyle pieniędzy? Miałem sześć tygodni na oddzielenie wilków od owiec. Ciebie odrzuciłem szybko. Muszę komuś zaufać, bo inaczej ten świat będzie kompletnie żałosny. Zacznę od ciebie.

— I lepiej w tym miejscu skończ. Lubisz wierzyć swoim przyjaciołom, ale to nie zawsze jest dobrym pomysłem. To cię kiedyś zabije.

— Trochę kuleję i może zawsze będę. Utykający człowiek to jednak niezupełnie to samo, co dzieciak, który ma pusto w głowie.

— Hughie — spytał Bart Lennon — wracasz tym razem tylko po to, by udowodnić Ophirowi, że masz stalowe nerwy? To diabelnie kiepski powód.

— Mam nadzieję zamieszkać w tej dolinie do końca życia, jako ranczer. Gdybym zrezygnował z tej pracy, zyskałbym reputację człowieka łatwo ustępującego i każdy sąsiad na wzgórzach próbowałby się na mnie wyżywać przez następne pięćdziesiąt lat. To się nie uda.

Dolina robiła się coraz węższa, w miarę jak jechali coraz dalej na wschód, po lewej i prawej stronie wznosiły się potężne wzgórza, a wczesnym popołudniem droga zbliżyła się do ciemnej bariery drzew, rozciągającej się bezpośrednio przed nimi. Na skraju tej bariery, przytulony do drogi, stał dom Faya Millera, jego świeżo ociosane kłody lśniły w słońcu; na trawiastym otwartym terenie, pasło się bydło. Ponieważ nie był to przystanek dyliżansu, Rawson przejechał obok chaty. Za chatą młody mężczyzna obrócił osiodłanego konia, ustawiając się tyłem do pojazdu.

— Kim jest ten nowy?

— Przyplątał się z miesiąc temu, nie znam go. Nie widzę konia Faya, więc jest na wzgórzach. Hughie, to miejsce jest do niczego.

— Nie nadaje się na ranczo — powiedział Rawson. — Jest zbyt blisko bagien. Byłoby to jednak dobre miejsce dla człowieka, który chciałby szybko gdzieś się przytaić.

Sto metrów za domem Millera kurz przestał unosić się spod kół i dyliżans wjechał w las, w mocny cień, w zupełnie inny świat. Był to dolny kraniec doliny; tworzył on swoistą nieckę, do której wpadały potoki z okolicznych wzgórz, i leniwie pluskały, szukając ujścia dawno temu już zatkanego przez bobrowe tamy. Efektem tego było trzęsące się, czarne bagno o szerokości czterech mil, pokryte żywym, martwym i umierającym drewnem, tak poprzeplatane powalonymi zwałami pni i ledwie widocznymi ścieżkami zwierzęcymi, że wyglądało jak skrawek jakiejś prehistorycznej dżungli, która przetrwała w sercu wzgórz. Droga nieustannie wiła się w poszukiwaniu stałego gruntu, utwardzana przez poukładane na krzyż drewniane kłody, pierwotnie leżące na powierzchni, ale teraz już częściowo wessane pod błoto, które luźno pryskało spod końskich kopyt.

W połowie bagna droga zataczała krąg wokół idealnego koła laguny, w której na szczudłowatych nogach stały ptaki o chudych szyjach; dalej pojawił się kawałek na wpół suchego gruntu, po którym prowadziła ścieżka, od drogi do jakiegoś bliżej nieznanego miejsca na bagnach.

— To jest to miejsce — powiedział Lennon.

— Był za tym drzewem o krzywej podstawie — potwierdził Rawson.

Dalszy przejazd przez bagno trwał dwie godziny. O piątej opuścili je i dotarli do zajazdu Pennoyera na łące. Na podwórzu stała spora grupka ludzi, która zainteresowała Lennona.

— Coś się dzieje.

Rawson poderwał konie do ostatniego biegu i w spektakularny sposób zatrzymał dyliżans przed pokrytą porożem ścianą zajazdu Pennoyera, jak również przed samym Pennoyerem, który czekał w tym miejscu, by złapać lejce, rzucone mu przez Rawsona. Nieco za domem pół tuzina górników stało naprzeciw czterech kawalerzystów i wysokiego porucznika, który jedną rękę trzymał na ramionach małego człowieczka.

Rawson przywitał się z Pennoyerem i zeskoczył na ziemię. Było to zdawkowe powitanie i żaden z mężczyzn nie podał drugiemu ręki. Głos Rawsona przyciągnął porucznika, który podszedł do niego z zachwytem i zdumieniem na twarzy.

— Hughie, niech mnie diabli.

Śmiejąc się, położył obie ręce na ramionach Rawsona i uściskał go.

— No cóż — powiedział Rawson, — jakoś przezimowałeś. — Pchnął lekko w ramię porucznika Adnę Romillysa Carrico, z 3-go pułku kawalerii, i uśmiechnął się szeroko do niego. — Cały wychudłeś od włóczenia się po okolicy i wtrącania się w cudze sprawy.

Von Stern i Evelyn wyszli z dyliżansu, a Evelyn obserwowała serdeczny pokaz uczuć między obydwoma mężczyznami. Carrico był podobnej budowy co Rawson, miał nieco poniżej sześciu stóp wzrostu, długie nogi i klatkę piersiową, wąskie biodra, jasną cerę i kręcone żółte włosy, w których, mimo że miał zaledwie trzydzieści lat, widać było siwe pasemka na skroniach. Tym, co odróżniało go od Rawsona, była ogromna energia, która rozświetlała mu twarz i promieniowała z jego cudownie niebieskich oczu. Mundur miał wybrudzony błotem, a na szczęce ciemniał jednodniowy zarost. Widząc Evelyn, zdjął czapkę i ukłonił się w jej stronę.

— Stęskniłem się za tobą.

— To miłe — odparła.

— Panie poruczniku — zawołał jeden z żołnierzy.

Evelyn zawróciła do zajazdu. Carrico podszedł do grupy, Rawsona, von Sterna i Barta Lennona. Żołnierz odezwał się ponownie.

— Jaki brzmiały rozkazy, panie poruczniku?

Żołnierze i cywile tworzyli luźny krąg wokół przygnębionego mężczyzny o rozgoryczonych oczach, w wieku około dwudziestu pięciu lat. Nie miał kapelusza, jego ubranie było wypaprane błotem, a jedną stronę twarzy przecinała świeża blizna. Rawson odezwał się do niego.

— Co się dzieje, Potter?

Potter wzruszył ramionami, nie patrząc bezpośrednio na Rawsona. Carrico wskazał na grupę poszukiwaczy złota.

— Ci ludzie ścigali go od Muddy Bar. Miał już właśnie dołączyć do swych przodków, kiedy się pojawiłem. Myślą, że majstrował przy ich płuczniach do złota.

Jeden z poszukiwaczy złota powiedział:

— Wracaj do domu, Carrico. Twoim zadaniem jest ściganie Pajutów.

— Nie można tu nikogo powiesić na podstawie podejrzeń — odparł cierpliwie Carrico. — Sierżancie, zabierzcie Pottera do Camp Wilson i zamknijcie go. Kiedy sprawa się uspokoi, zapewnimy mu proces.

— Znam wasz styl działania — oznajmił górnik. — Wypuścicie go na wolność. To nic nie da. Złapiemy go znowu. — Rozejrzał się i kiwnął głową w stronę von Sterna. — Co ty byś zrobił, George?

Von Stern obserwował Pottera z ponurym brakiem zainteresowania. Przez chwilę przypatrywał się górnikowi, na wpół zaskoczony pytaniem, po czym ponownie spojrzał na Pottera, jakby ten był czymś niewiele więcej niż tuszą wołową. Wzruszył ramionami.

— Do diabła — oznajmił, — powiesić go i mieć to z głowy.

Odpowiedź ewidentnie stanowiła wstrząs dla Pottera, który zesztywniał i popatrzył na von Sterna przeszywająco bezpośrednim spojrzeniem; silne emocje sprawiły, że na jego skądinąd słabej twarzy pojawiła się chwilowa determinacja i wziął głęboki oddech. Jednakże już na samym początku wypowiedzi ogień w nim zgasł i opuścił podbródek, by powrócić do swojej obojętnej postawy.

— A co ty byś zrobił, Hugh? — powiedział górnik, naciskając na pogłębienie swojej przewagi.

Rawson pokręcił głową.

— Carrico ma rację.

— Jasne, jasne — powiedział górnik z niezadowoleniem. — Ty byś się z nim cackał. A przecież ze wszystkich ludzi, ty właśnie powinieneś być mądrzejszy. — Syknął, spoglądając poza grupę na człowieka opierającego się o pień pobliskiej sosny na podwórzu. — Fay, a co o tym myślisz?

W cieniu drzew, oparty wygodnie plecami, stał spokojnie, niezauważony przez ludzi z dyliżansu, Miller, a kiedy Rawson skierował na niego wzrok, spotkał się z bezpośrednią odpowiedzią, zarówno uważnie pilnującą się, jak i czujną, oraz do pewnego stopnia bezczelną. Jedną rękę, lewą z krzywym czwartym palcem, miał wciśniętą w kieszeń spodni; jego szorstkie i przygarbione ramiona opierały się o drzewo, a on sam wydawał się być tylko widzem, który śmieje się z publiczności. Jego żółte włosy, o wiele bardziej żółte niż włosy Carrico, wypływały mu spod kapelusza niczym motki przędzy. Nie okazał Rawsonowi więcej uznania niż Rawson jemu, ale przez chwilę przyglądał się von Sternowi, zanim pokręcił głową w stronę górnika.

— Nie moja sprawa — odparł.

— Sierżancie — oznajmił Carrico — zabierzcie Pottera do obozu. To koniec tych bzdur.

— Do diabła z tym — powiedział górnik. — Możesz go zamknąć, ale poczekamy aż wyjdzie. Chodźmy.

Poszukiwacze złota szybko wsiedli na konie i wyjechali z zajazdu, a żołnierze zebrali się i zaczekali, aż Potter otrząśnie się z letargu. Powiedział:

— Dziękuję, panie poruczniku — a potem skinął głową w stronę Rawsona.

Wtedy jad oburzenia oferował temu słabemu człowiekowi chwilę nieprzewidywalnej siły, pozwalając mu rzucić von Sternowi wrogie spojrzenie błyszczących stanowczością oczu. Następnie odwrócił się do swojego konia. Ani razu nie spojrzał w kierunku Faya Millera.

Rawson oznajmił: „Tracimy czas” i podszedł do umywalki stojącej przy ścianie koło narożnika chaty. Reszta grupy weszła do środka zajazdu, a Miller dołączył do nich. Kiedy Rawson się umył, stał przez chwilę, słuchając Pennoyera, który przeklinając zaprzęgał do dyliżansu nową zmianę koni. Na zachodzie dostrzegł chmury zbierające się do gwałtownej wiosennej burzy; delikatne światło dnia zaczęło już łapać bursztynowe odcienie późnego popołudnia. Następnie podszedł do stołu, gdzie spożywano kolację; porozmawiał z panią Pennoyer, która krążyła dokoła, zajmując się jedzeniem.

Podróż nadszarpnęła nerwy von Sterna i jego głos brzmiał szorstko.

— Któregoś dnia ta bagnista droga załamie się prosto pod dyliżansem.

— Bobry stale wspomagają bagno swoimi tamami — stwierdził Lennon. — Jeden dobry rów lub parę lasek dynamitu szybko by ten teren osuszyło.

Z jakiegoś powodu komentarz ten zainteresował Faya Millera. Podniósł głowę znad talerza.

— Po co? Droga nie jest zła. Po co to zmieniać?

— Żeby było bezpiecznie — odparł Lennon.

— Już teraz jest bezpieczna.

— Mówimy o zupełnie różnych rzeczach — zauważył cichym głosem Lennon.

— Ja mówię o drodze — powiedział Miller.

Usiadł z powrotem na krześle, prawą rękę trzymał na widoku, a kaleką lewą chował poza zasięgiem wzroku. Niezadowolona witalność nadawała jego uśmiechowi złośliwy charakter i sprawiała, że jego głos brzmiał nieprzyjemnie dosadnie; wydawało się, że w duchu śmieje się z nich, a mimo to wyglądał na człowieka czekającego na cokolwiek, co mógłby zakwestionować.

— To nie rowu potrzebuje to bagno — oznajmił Rawson.

— Teraz przemówił dobry woźnica — powiedział Fay Miller. — I to taki, który jest z tego dumny.

Von Stern posłał Millerowi szybkie, chmurne spojrzenie i natychmiast je wycofał. Lennon obserwował mężczyznę z niezmienną łagodnością, podczas gdy Carrico, pozornie zdystansowany widz, był lekko rozbawiony.

— To, co by temu bagnu najbardziej się przydało — dokończył Rawson — to kilka dobrze użytych pocisków.

— Jadąc takim gruchotem — powiedział Fay Miller — potrzebowałbyś obu rąk do pływania, ale może jesteś jednym z tych, którzy potrafią pływać i strzelać w tym samym czasie.

Rawson poklepał solniczkę i doprawił mięso.

— Nie, zrobię to, co ten, który mnie postrzelił - stanę gdzieś na twardej ziemi, za drzewem. Ale nie będę tak zdenerwowany jak on. Nie spudłuję z odległości dwudziestu pięciu stóp.

Jadł dalej, nie zwracając uwagi na pozostałych.

— Może — powiedział Miller, a w jego głosie nadal pobrzmiewała nutka sarkazmu — temu człowiekowi coś wpadło w oko, kiedy strzelał, a może celował nie tam, gdzie zamierzał. Jeśli naprawdę chybił z odległości dwudziestu pięciu stóp, powiedziałbym, że powinien w ogóle dać sobie spokój ze strzelaniem.

— Tak czy inaczej — stwierdził Rawson — to był jego błąd.

— Myślisz, że strasznie się tym martwi? — zadrwił Miller.

— Dopóki są drzewa, za którymi może się schować, pewnie nie. — Rawson skończył kawę i sięgnął po cygaro. Nie spieszył się z jego zapaleniem, a na jego twarzy widać było, że rozkoszuje się zapachem dymu: — Trochę myślałem na temat tego gościa. Nie rozumiem go. Lubi kaleczyć swoje ofiary, zanim je zabije, nie chce pozwolić, by ofiary mu się przyjrzały. To chyba kwestia odwagi. Nie sądzę, żeby ją naprawdę posiadał. Myślę, że jest podszyty tchórzem, od skarpetek po kapelusz na głowie.

Dobierał słowa, które były mu potrzebne, z widocznym rozbawieniem. Wcześniej nie patrzył w stronę Millera, co zauważyła nawet dziewczyna, ale teraz skupił na nim swoje spojrzenie, niewzruszone i łagodne.

— Szukam go i nie powinno być trudno go znaleźć. Nie ma tu zbyt wielu takich ludzi. Nie sądzę, by on sam to wszystko wymyślił. Myślę, że nawet jego gacie są kupione i opłacone przez kogoś innego, tak więc jest jeszcze jeden człowiek, z którym chciałbym się spotkać. Po to właśnie wróciłem. Zamierzam odnaleźć obu tych ludzi.

Pasażerowie wyszli z zajazdu i wsiedli do dyliżansu.

Carrico pozostał na podwórzu, Fay Miller obserwował go przez otwarte drzwi dyliżansu, zaś Lennon wspiął się po kole na swoją stronę wysokiego kozła. Carrico powiedział:

— Będę jutro w Ophirze, chciałbym z tobą porozmawiać.

Evelyn zawołała z powozu.

— Ty, Hugh i George zjecie ze mną jutro wieczorem. Wypijcie swoje drinki wcześniej, zanim przyjedziecie.

Rawson zwolnił hamulec i krzyknął, by zaprzęg ruszył do przodu,

Lennon zauważył:

— Zaskakujesz mnie, Hughie. To był wojenny okrzyk, bez dwóch zdań. Rozniecıłeś ogień.

— Dwa ognie — skorygował Rawson.

— To nie jest takie pewne.

— Nie, i wolałbym się mylić co do niektórych spraw. Zobaczymy, Bart. Wkrótce się przekonamy.

Opuścili zajazd Pennoyera o piątej trzydzieści. Dwie godziny później znaleźli się na szczycie przełęczy i pod nimi otworzyła się kolejna dolina, przechodząca w węższy wąwóz, którego obie ściany wznosiły się wysoko na tle ciemniejącego nieba. Wzdłuż wąwozu migotały pierwsze wieczorne światła Ophiru, a za Ophirem powoli ciemniały masywne sylwetki gór.

Lennon łagodnie to podsumował.

— W sejfie w saloonie i w sejfie Easterline'a musiało się już zebrać ze dwieście tysięcy w złotym pyle. Tej wiosny górnicy wypłuczą kolejne ćwierć miliona. Wszystko to musi pojechać do Klickitat w tym dyliżansie. To miód, który przyciąga niedźwiedzie ze wszystkich stron. Na razie naszym zmartwieniem są te zgromadzone dwieście tysięcy. Już teraz to zbyt dużo do ugryzienia, a musimy wywieźć to złoto w ciągu trzydziestu dni, zanim ładunek jeszcze się powiększy. To twoje zadanie, Hughie, wszyscy o tym wiedzą i mało kto stawia, że ci się uda.

Zjechali z przełęczy i popędzili przez kotlinę prosto w szczęki dwóch wysokich grzbietów górskich, a o ósmej trzydzieści tego wieczora, trzydzieści siedem godzin po wyjeździe z Klickitat, Rawson przemknął jedyną ulicą Ophiru i zatrzymał się przed tłumem, który zawsze czekał na przyjazd dyliżansu wokół saloonu George'a von Sterna.

Jakiś głos zawołał:

— Cześć, Hugh, wracasz do zabawy?

Potem inny głos powiedział:

— Zrzućcie worki z pocztą.

Podał lejce gospodarzowi na dole, zsiadł z kozła i poszedł w kierunku oddalonej o dziesięć drzwi chatki, która była zarówno jego domem, jak i biurem ekspresu.

Rawson wstał o piątej, rozpalił ogień w zimnym jak lód pokoju, wziął swoje wiadro i wszedł na mroźny wstrząs wczesno-wiosennego górskiego powietrza, lekko zabarwionego powoli rozwiewającym się dymem z pięciuset blaszanych kominów. Przeszedł przez ulicę, między dwoma domami z drewnianych bali - sklepem Easterline'a i saloonem von Sterna – dotarł do potoku, nabrał wody i wrócił by się ogolić. Następnie udał się do saloonu na fasolę, chleb i kawę. W mieście nie było restauracji, lecz Chińczyk von Sterna zawsze mógł przygotować śniadanie z darmowych resztek pozostałych z poprzedniej nocy.

Niebawem dołączył do niego Von Stern; jego ciemna skóra miała czerwony odcień od golenia, biała koszula była sztywna od krochmalu, kręcone i ciężkie włosy były dobrze wyszczotkowane. Powiedział w najbardziej beztroski sposób, jak to potrafił:

— Hugh, nie rozumiem tego zagrania przeciwko Fayowi Millerowi. Wiesz coś, czy tylko spekulujesz?

— Może to jedno albo może to drugie.

Von Stern wzruszył ramionami, jakby nie miało to znaczenia, ale jego następne pytanie wstrząsnęło Rawsonem.

— W Klickitat byłeś na spacerze z Evelyn. Czy mówiła coś o mnie?

— Nie — odparł Rawson. — Masz coś konkretnego na myśli, George?

Von Stern przyjrzał mu się uważnie.

— Nie, nic.

Nastąpiła między nimi właśnie ta chwila, chwila, w której sprawy potoczyły się w inny sposób niż powinny. Rawson wstał, zirytowany na von Sterna za to, że wspomniał o dziewczynie.

— George, rozgrywaj swoje karty na własną rękę.

— Zawsze tak było — stwierdził von Stern całkowicie neutralnym głosem; to stwierdzenie mogło paść w dowolnym kierunku. Następnie dodał: — Do zobaczenia na kolacji. Przyjdź wcześniej, to wypijemy drinka.

Rawson szedł krętą uliczką, a pytanie von Sterna stopniowo obnażyło swe jątrzące żądło. Von Stern tak naprawdę nie zamierzał wygłosić tej kwestii, jako pytania, ponieważ mężczyźni są za bardzo zamknięci w sobie, aby dyskutować swe prywatne sprawy przed kimkolwiek innym; w

rzeczywistości była to sugestia dla Rawsona, aby trzymał się z dala od Evelyn. Kiedy tylko to zrozumiał, Rawson bardzo się zamyślił. Długa przyjaźń umierała: zaczęła obumierać w chwili, gdy nasunęły mu się podejrzenia, że George może tkwić po uszy w tym biznesie z napadami. Nie chciał w to wierzyć i miał ogromną nadzieję, że przyszłe wydarzenia pokażą, iż się mylił; ale nawet gdyby tak się stało, już samo pierwotne podejrzenie musiało zabić ich przyjaźń. Nikt nie mógł tego cofnąć. George to wyczuł; jego reakcją było wystosowanie tamtego ostrzeżenia.

Rawson wszedł do sklepu Easterline'a, uścisnął dłoń Ruelowi Easterline'owi, zamówił kilka artykułów spożywczych i powiedział:

— Dziś wieczorem lub jutro rano zabiorę trochę złotego pyłu, który masz w sejfie, — po czym czekał, aż sklepikarz skompletuje jego zamówienie, bezskutecznie próbując wzbudzić w sobie choćby przyzwoite zainteresowanie tym bezbarwnym człowiekiem. Mając trzydzieści pięć lat, Ruel Easterline równie dobrze mógłby mieć pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt, nie czyniło to żadnej różnicy. Poważny i obojętny, przepełniony widoczną troską o zadawalanie ludzi, nie budził żadnej silniejszej reakcji ze strony Rawsona, który czuł, że trudno mu jest współczuć Easterline'owi z powodu niewierności żony. I nie potrafił też potępić Beth Easterline za pragnienie przeżycia czegoś, czego jej mąż nie był w stanie jej zapewnić. To była jedna z tych złych umów, które przytrafiają się ludziom.

Rawson doszedł do otwartego łuku wejścia kuźni Baileya Powella i znalazł się w obszarze wypełnionym hukiem młota kowalskiego, uderzającego w kowadło. Powell wrzucił kawałek żelaza z powrotem do ognia i podszedł, by podać Rawsonowi dłoń, równie twardą jak kopyto, nad którym pracował; jego smutne brązowe, oczy spoglądały na Rawsona przychylnie.

— Dobry Boże, Hugh! — powiedział. — Kulejesz?

— Może to się polepszy.

— Mam taką nadzieję. — Zapalił fajkę i usiadł na przewróconej balii, jego wielkie ręce opadły na krzywe nogi. — Wracasz do powożenia?

— Tak.

— Acha — stwierdził Powell i na wpół pokręcił, a na wpół skinął głową. Nie można było stwierdzić, czy gest ten oznaczał aprobatę, czy też żal, ponieważ ogromna broda, która całkowicie zakrywała mu fizjonomię, powodowała że Powell wyglądał na pozbawionego twarzy tępego olbrzyma, a wrażenie głupoty dodatkowo potęgowane było przez jego brak umiejętności sprawnego posługiwania się słowami.

Rawson przeszedł obok paleniska do tylnych drzwi warsztatu, które otwierały się na usypane kamieniami zbocze, nie więcej niż dziesięć stóp ponad wysokim wiosennym nurtem potoku. Po drugiej stronie potoku, na wąskim pasie kamieni, stała stodoła z drewnianych bali, obok niej corral z desek, z tuzinem dzikich i narowistych koni, które Veen Tilson, teksański handlarz końmi, sprzedawał górnikom, po pobieżnym ujeżdżeniu. Zygzakowate ścieżki biegły w górę zbocza i znikały w gęstym górskim lesie. W tej chwili Tilson siedział na ławce przed swoją stodołą, wygrzewając się w promieniach pierwszego mocnego wiosennego słońca i

zdawał się studiować coś znajdującego się dalej, w wyższej części wąwozu. Po chwili Rawson rzucił przez ramię pytanie.

— Tilson nadal jeździ na tym srokatym koniu z marmurowymi oczami?

— Tak.

Uwaga Rawsona przeniosła się na zygzakowate ścieżki na zboczu góry.

— Bailey, jak często podkuwasz tego konia?

— Może nawet co miesiąc.

— Dosyć często — stwierdził Rawson. — To oznacza dużo jeżdżenia.

Wrócił na ulicę i spotkał Barta Lennona schodzącego z górnej części obozowiska. Machnął na niego ręką i obaj, skręcając, weszli na utwardzoną drogę dla wozów, która wspinała się po północnej ścianie wąwozu, do miejsca pochówku, na szczycie płaskowyżu. Ziemia na dnie wąwozu Ophir, która zawierała złoto, była zbyt kosztowna dla zmarłych. W połowie drogi, gdy domki pozostały już znacznie w dole, obaj przykucnęli na stoku.

— Easterline jest poza tym — powiedział Rawson. — Nie jest dostatecznie twardy, by być przestępcą. Ale Tilson coś kręci, według mnie.

— Może być kurierem, który przekazuje wiadomości stąd do kogoś na bagnie.

— Na trasie są tylko dwa miejsca, o które trzeba się martwić: bagno - idealne miejsce na zasadzkę - i las między Head of the Mountain a pustynią. Spróbujemy czegoś, Bart. Rano wyjedziesz dyliżansem. Dzisiejszej nocy wezmę trochę złotego pyłu z sejfu Easterline'a, tak by nikt inny o tym nie wiedział, załaduję go do paru sakw przy siodle i pojadę okrężną trasą. Spotkam się z dyliżansem w Head of the Mountain - w kanionie. Stamtąd Rheinmiller może zabrać złoto dalej.

Lennon pokręcił głową.

— To tylko mały numer. Nie będzie to miało wpływu na ilość nagromadzonego złota. Nie widzę sposobu, by je wywieźć ukradkiem. Musimy wrzucić je do dyliżansu i ruszyć w normalny kurs.

— To tylko zmyłka, Bart. Powiem George'owi, co chcę zrobić, a jeśli wieści wyciekną, będziemy wiedzieć jak to się stało.

Bart popatrzył Rawsonowi prosto w oczy.

— To dla ciebie problem, jeśli on w tym siedzi?

— Nie spodobałoby mi się to, Bart. — Rawson zerwał źdźbło trawy i wsunął je w kącik ust. — Był moim przyjacielem przez długi czas.

W porze kolacji Rawson udał się do saloonu i zastał tam von Sterna i Carrico czekających na niego przy stoliku w rogu sali.

— Opóźniłeś mojego drinka — stwierdził Carrico. — Gdzie byłeś?

— Na przejażdżce.

Von Stern napełnił szklaneczki, a Carrico spytał:

— Gdzie? — i wypili whisky.

Von Stern ponownie się ogolił, jego twarz pokryła się rumianą poświatą od gorących ręczników, a spod płaszcza wyglądała świeża koszula. Zapytał Rawsona:

— Pojechałeś w górę wąwozu?

— Jeździłem tu i tam — odparł Rawson.

Carrico uśmiechnął się.

— Informacje wręcz się z niego wylewają.
Zauważył, że wyraz twarzy von Sterna się uspokoił, a na jego własnej twarzy pojawiło się zamyślenie.
Z tłumu wokół baru wyrwał się Veen Tilson i podszedł do ich stolika, odsuwając krzesło, jakby chciał do nich dołączyć; w tym momencie oczy von Sterna uderzyły go ze skrytą irytacją, efekt tego podobny był do silnego pchnięcia, a Tilson się zreflektował.
Był to niski, wyciągnięty jak struna człowiek o sprężystych nogach kowboja i suchej twarzy, głęboko zniszczonej przez razy surowego życia. Stał na wpół bokiem do nich, a jego uśmiech, odbierany przez Rawsona pod tym kątem, wydawał się chytry i przesadnie przyjazny.
— Miło cię widzieć, chłopcze. Myślałem właśnie, że ten twój gniadosz jest już nieco stary. Powinieneś pozwolić mi wymienić go na lepszego konia.
— Nie — odparł Rawson.
Ten człowiek nie był jego przyjacielem i wiedział o tym, a mimo to celowo używał pozorów familiarności; był tanim łajdakiem bez reputacji i ze zbyt dużą ilością forsy, skrycie gardzącym tymi, którym się narzucał. Rawson nagle zauważył za sobą Faya Millera, który stał przy barze i przyglądał się tej scenie z zarumienionym i zjadliwie rozbawionym obliczem. Jeśli jego przypuszczenia były słuszne, to ci trzej ludzie byli jego wrogami - Miller, Tilson i George. Co ich ściągnęło pod jeden dach? Veen Tilson, wciąż uśmiechnięty, obszedł stół i energicznie klepnął Rawsona w ramię.
— No cóż, chłopcze, potrzebujesz lepszego konia.
Rawson odwrócił się, by uchwycić wyraz twarzy von Sterna, ale zobaczył tylko sprytnie zobojętniałą pokerową maskę. Może czegoś się tu dowiemy, pomyślał sobie i powiedział głośno do Tilsona:
— Zabierz ode mnie tę cholerną rękę.
Uśmiech Tilsona nie znikał, zwężając się aż do cienkiej zmarszczki na wargach. Może, pomyślał Rawson, chce zrobić ze mnie frajera przed całym obozowiskiem. Musi być po temu jakiś powód. Jego powód, Millera albo George'a. Przesunął ciało i z całej siły wymierzył Tilsonowi pchnięcie, które odrzuciło go do tyłu i zwaliło z nóg na podłogę. Rawson pochylił się na krześle do przodu, opierając dłonie na kolanach aby móc wykonać szybki skok. Tilson podniósł się z podłogi, jego twarz była szara i pomarszczona; przesunął dłonią po głowie, popatrzył szybko dokoła – może na Millera, von Sterna lub kogokolwiek innego. W jego oczach pojawił się blask jak z szeroko otwartych drzwi pieca. Oto, pomyślał Rawson, gdzie tańczy diabeł.
— Powinienem wypruć ci flaki — oznajmił Tilson.
Rawson poderwał się z krzesła, obserwując, jak ręka Tilsona wsuwa się za płaszcz, zmierzając w kierunku paska od spodni; podszedł szybko, aby powstrzymać nóż, o którym wiedział, że tam będzie, uderzył Tilsona w twarz, dłonią na płask, walnął uwięzioną rękę mężczyzny od góry, złapał go i pchnął do tyłu, na ścianę saloonu. Odciągnął go od ściany i rzucił nim w nią ponownie, całym impetem pleców i ramion. Handlarz koni upadł na kolana. Zakaszlał i otrząsnął głowę, ale powiedział:

— Zabiję cię...
Usłyszał nagle głos Von Sterna.
— Zamknij się, Tilson. Nie możesz przychodzić do mojego lokalu i robić zamieszania.
Tilson podniósł się z podłogi, sapiąc ciężko przez szeroko otwarte usta. Powiedział:
— W porządku… w porządku.
Otrzepał się, obmacał twarz i popatrzył na koniuszki palców. Uniknął wzroku Rawsona i posłał von Sternowi szybkie, dziwne spojrzenie. To jest to, pomyślał Rawson, oto jego szef. Powiedział do Tilsona:
— Trzymaj się ode mnie z daleka. Następnym razem, kiedy spróbujesz zrobić ze mnie głupka przed ludźmi, skręcę ci kark.
Wyszedł na rześką noc i zaczekał na zewnątrz. Carrico i von Stern wkrótce dołączyli do niego i cała trójka ruszyła w kierunku chaty Evelyn Harvey.
Carrico zapytał:
— O co chodziło?
— O nic.
— To był kiepski osąd — oznajmił von Stern. — Zrobiłeś sobie wroga. Po co?
Drzwi Evelyn stały otworem, a ona wyszła z tylnego pokoju.
— Wypiliście już swoje drinki?
— Tak — odpowiedział Carrico. Zdjął kapelusz i popatrzył na nią z otwartą, pełną podziwu bezpośredniością.
Odwróciła się do Rawsona i von Sterna.
— Dlaczego jesteście tacy poważni?
Carrico oznajmił:
— Hugh przeszedł na zawodowstwo i załatwił sobie walkę — i wyjaśnił to dziewczynie. — George i ja nie wiemy dlaczego.
— Ja wiem — odparła.
Von Stern spytał:
— Dlaczego?
— Dlatego — powiedziała i dotknęła ramienia Rawsona, a w jej oczach zatańczyło jasne światło.
Znów wyglądała dla niego jak kryształ, cała w kolorach i ruchu, a jej obecność wyciskała doznania z dziwnych miejsc w jego nerwach, i doznania te przebiegały przez jego całe ciało. Evelyn powiedziała:
— Siadajcie — i skierowała się do kuchni.
Trzej mężczyźni stłoczyli się między stołem, manekinem do sukni i półkami z różnego rodzaju metalowymi szpilkami, wiszącymi wzdłuż ściany.
Kiedy jedli, wczesnowiosenny zmrok spływał do kanionu, a koło domu zakołysały się światła latarń. Gdzieś w górnej części obozu dźwięki gitary oraz skrzypiec nierównomiernie wznosiły się i opadały. Von Stern popatrzył na Carrico.
— Myślę, że lepiej będzie, jeśli dociśniemy teraz Hugh.
— Wal śmiało.

— Hugh — powiedział von Stern — musisz przestać urządzać popisy. Ty będziesz się znajdował na otwartej przestrzeni, tamci goście będą schowani w zaroślach. Żaden hazardzista w obozie nie postawi nawet trzy do jednego na to, że wytrzymasz dziewięćdziesiąt dni, jeśli spróbujesz jeździć do Klickitat ze złotym pyłem. Być może to dla ciebie kwestia dumy, aby dowieść, że nikt nie zdoła cię do niczego zmusić. Jedź i daj się zabić, żeby to udowodnić, ale co ci to da? To zły pomysł. Ja tak myślę, Ad tak myśli. Wszyscy twoi przyjaciele tak myślą. Evelyn też.

— Ja niczego takiego nie powiedziałam — wtrąciła. — A w każdym razie używasz wobec niego złych argumentów.

— A jakie byłyby lepsze?

— Żadne. On podjął decyzję już w Portland.

— Nie byłem tego świadomy — oznajmił von Stern chłodnym tonem.

Carrico spróbował szczęścia.

— Aby przetrwać w tym biznesie, potrzeba pewnego rodzaju człowieka, takiego który uważa, że wszyscy inni ludzie to psy, które chcą go ugryźć. Ty taki nie jesteś.

— Już bliżej — powiedziała Evelyn — ale to nie zmieni jego decyzji.

Von Stern wskazał wyprostowanym palcem wskazującym na Rawsona.

— Chcesz założyć ranczo w Deer Valley. Pracujesz, by zebrać na nie pieniądze, ale przy dwustu dolarach miesięcznie, zajmie ci to wieczność. Rzuć powożenie, a zainwestuję w ciebie 2500 dolarów. Spłacisz je, gdy osiągniesz sukces.

Rawson wzruszył ramionami.

— Miło mieć przyjaciół. Możesz mi wykopać grób, kiedy nadejdzie czas.

— Porozmawiam z nim — powiedziała Evelyn. — Wy dwaj odejdźcie.

Carrico odwrócił się i położył rękę na ramieniu von Sterna, ciągnąc go do wyjścia; zanim przeszedł przez drzwi spojrzał za siebie, teraz już uśmiechnięty od ucha do ucha.

— Ta strategia jest całkiem sprytna.

Wybuchła śmiechem.

— Och, Ad, jesteś na wpół grzesznikiem, a na wpół świętym.

— I co jest lepsze? — spytał i pociągnął spokojnie von Sterna w noc.

Rawson obserwował, jak jej zachowanie natychmiast się zmieniło. Pojawił się w nim niepokój, podeszła do drzwi i obserwowała ulicę. Potem odwróciła się.

— Myślisz o mnie wiele różnych rzeczy. Chciałabym, żebyś wypowiedział niektóre z tych myśli na głos, żebym mogła cię skorygować.

Wstał, pozbierał naczynia i poszedł do kuchni.

— Chodź.

— Zrobię to później. Chcę porozmawiać.

— Możesz mówić z rękoma w wodzie. — Potem odwrócił się do niej. — Martwisz się, że George jest na zewnątrz, a ja w środku? Może lepiej już pójdę.

Weszła do kuchni z gniewną miną na twarzy. Założyła fartuch i napełniła miskę, podczas gdy on wziął ręcznik. Powiedziała:

— Jesteś głupi w niewłaściwych momentach.

Dokończyli pracę w milczeniu. Powiesił ręcznik z tyłu pieca i przyniósł z szopy naręcze drzewa do skrzyni na drewno. Usiadł na skrzyni, najedzony i rozleniwiony, a senne zadowolenie było narkotykiem, który uczynił go cudownie głupim. Zdjęła z pieca dzbanek z kawą i teraz nalała po kubku dla nich obojga.

— Kiedy będziesz starym człowiekiem, będziesz z żelaznym uporem trzymał się swoich nawyków — powiedziała. Nocne powietrze, wpadające przez frontowe drzwi, wychłodziło dom, wstała więc, zamknęła je i wróciła do kuchni.

Powiedział:

— Jeśli ja zginę, George będzie tu w dziesięć minut po tym – strasznie zbolały, to dlatego to robisz?

Odwróciła się, jej usta były gładkie jak miód z rozbawienia. Ponownie poczuł wstrząs, i wytrzymał jej spojrzenie, dopóki nie spłynęło z niej całe rozbawienie, i nie zniknęła powściągliwość. Zamknął oczy, ciepło ognia wnikało w jego kości, aż ważył chyba z tysiąc funtów. Nie myślał o niczym, przepełniało go tylko uczucie pełnego błogostanu.

Stwierdziła:

— Piękna rzecz, spać na mojej skrzyni na drewno. Idź do domu. do łóżka.

Wstał i podszedł do drzwi.

— Ty i George macie jakieś kłopoty?

— Odwróć się i powiedz mi, dlaczego o to pytasz.

— Chciał wiedzieć, czy mówiłaś coś o nim, podczas naszego spaceru w Klickitat.

Milczała jakby spierała się w myślach sama ze sobą; po napięciu jej rysów widział, że doszła do jakichś niewygodnych wniosków.

— To zabrzmiało tak, jakby miał jakieś prawa do tego, prawda?

— George to nie Carrico, żeby pleść bzdury. Jest zazdrosny.

— Myślisz, że ma jakieś prawa do tego?

— Chcesz wiedzieć, co myślę?

— Wiem, co myślisz. Chcę, żebyś to powiedział na głos.

— No cóż, a nie ma?

Odwrócił się. Nic nie powiedziała, gdy zamknął za sobą drzwi.

Poszła do pomieszczenia z tyłu, nalała sobie kolejny kubek kawy i usiadła na kuchennym krześle. Spojrzała w filiżankę tak, jak Cyganka patrzy w magiczny napar, a jej twarz przybrała wyraz spokoju. Pomyślała o przyjaźni między Hugh, Carrico i von Sternem i zdała sobie sprawę, że ona umiera. Mężczyźni byli dziwnymi istotami, dla których przyjaźń znaczyła bardzo wiele, a kiedy przyjaźń znikała, byli zasmuceni, nie rozmawiając o tym. Od wielu tygodni wiedziała, że Hugh spogląda na nią z bardzo intymnymi myślami, a jednak, ponieważ wierzył, że ona jest wybranką von Sterna, milczał. Na tym właśnie polegała przyjaźń. Wiedziała jednak, że kiedy ci dwaj mężczyźni przestaną sobie nawzajem ufać - a dostrzegała, że jakieś podejrzenia między nimi zaczynają się pojawiać - Hugh Rawson może nadal milczeć, ponieważ miał jeszcze inne myśli na jej temat, które stanowiły barierę między nimi. Nic nie mogła na to poradzić.

Usłyszała nagłe walenie pięścią w drzwi, trzy głuche uderzenia, identyfikujące George'a. Siedziała bez ruchu. Pomyślała: „Powinnam to zakończyć teraz. Powinnam go wpuścić i mu powiedzieć.” Usłyszała, jak George mówi.

— Evelyn, chciałbym z tobą porozmawiać.

„Nie”, pomyślała, „poczekam.”

— Jestem w łóżku, George.

Nie było słychać żadnego dźwięku, który by pochodził od niego, i wyobraziła go sobie w ciemnościach, na wpół rozgniewanego, na wpół gotowego do kłótni; jego temperament, gdy już się rozbudził, był jak matowe czerwone żelazo, lśniące ponurym blaskiem. Wkrótce usłyszała, jak odchodzi.

Z okna części mieszkalnej sklepu Beth Easterline obserwowała chatkę Evelyn, dopóki nie zobaczyła, jak Carrico opuszcza ją z Von Sternem. Pomyślała: „Niech cię szlag za marnowanie czasu w jej domu”, i wstąpił w nią jakiś pośpiech. Jak najszybciej dokończyła zmywanie naczyń po kolacji. Założyła płaszcz i weszła do sklepu. Easterline siedział przy swojej księdze rachunkowej, a żółte światło nie było łaskawe dla jego twarzy. Powiedziała:

— Muszę stąd wyjść… idę na spacer.

— W pobliżu kręci się jakiś pijak lub dwóch. Bądź nieco ostrożna.

— Będę ostrożna — zapewniła go.

Tuż za sklepem skręciła w wyboistą drogę, która prowadziła do cmentarza na szczycie zbocza kanionu. Szła tak szybko, że zabrakło jej tchu, gdy dotarła na górę i zobaczyła w niewielkiej odległości od siebie, cień konia oraz człowieka. Natychmiast podbiegła do Carrico i z westchnieniem rozkoszy rzuciła mu się w ramiona.

Odwiązał przytroczony za siodłem koc i rzucił go na ziemię, i oboje usiedli na nim. Powiedział:

— To kiepskie siedzenie.

— Nie mam nic przeciwko niemu. Przynajmniej tyle mamy.

— Coś trzeba zrobić — powiedział. — W obozie zacznie się gadanie. Nie mogę pozwolić, byś przez to przechodziła. Próbowałem wymyślić jakieś wyjście z tej sytuacji…

Odparła:

— Nie ma żadnego wyjścia. Nie przejmuj się. To nie ma znaczenia. Nie obchodzi mnie, czy Ruel się dowie - tak daleko się już posunęłam. Kiedy cię widzę, jestem szczęśliwa. W międzyczasie jestem jak martwa.

Jej usta z gorącym ożywieniem wędrowały po jego twarzy, po czym odnalazły jego usta i mocno do nich przywarły. Przyciągnął ją bliżej i objął ramionami. Zadrżała, wydała z siebie dziwny dźwięk, a potem znieruchomiała. Pasący się koń, odszedł gdzieś dalej.

W chwili, gdy Rawson wszedł do swojej chaty, poczuł na karku ukłucie niebezpieczeństwa. Zatrzymał się, stawiając jedną stopę przed drugą, i

pokręcił głową, aby dostrzec człowieka, o którym wiedział, że jest w środku.

— Wszystko w porządku — oznajmił jakiś głos. — Jestem w pomieszczeniu od tyłu.

— Kto to?

— Potter.

Przyłożył zapałkę do lampy stołowej i zobaczył twarz mężczyzny, wyglądającego zza framugi kuchennych drzwi. Przyciemnił lampę do cienkiego promienia światła:

— Jak wydostałeś się z aresztu Carrico?

— Sam otworzył mi drzwi i kazał sobie iść.

To był sposób Carrico, na pomoc tej małej istocie ludzkiej w walce z tłumem i na zdecydowanie o jej losie wbrew temu tłumowi.

— Nie jesteś zbyt mądry — stwierdził Rawson. — Jesteś pożądaną zwierzyną łowną dla każdego człowieka w obozie.

— Wyświadczyłeś mi przysługę, a ja mogę wyświadczyć ją tobie. Potrzebuję też trochę jedzenia.

Rawson znalazł lniany worek i podszedł do półki z jedzeniem. Wsypał do worka trochę mąki i dorzucił do tego dwufuntowy kawał bekonu; dodał też mały woreczek kawy, woreczek soli i puszkę proszku do pieczenia.

— To wystarczy ci do Klickitat, a jeśli jesteś mądry, nie zatrzymasz się nigdzie, zanim tam nie dotrzesz.

Potter powiedział:

— Wiesz dlaczego zostałeś postrzelony, prowadząc dyliżans?

— Ty mi powiedz.

— Uznali, że dzięki temu przez jakiś czas nie będzie kolejnych transportów. Dlatego zebrało się tu dużo złotego pyłu, a kiedy załadujesz go do skrzyni ekspresu, będzie to duży ładunek. Chcą go zdobyć - nie formie wielu małych przesyłek, przemykających się kurs po kursie, ale jednego dużego transportu złota, który będą mogli zrabować i uciec z nim.

— Kim są ci „oni”?

Mały człowieczek machnął jedną ręką do przodu i do tyłu.

— Są tutaj, w Ophirze, i poza miastem, na drodze. Nigdy do nich nie należałem, ale widuję wielu z nich, jeżdżących po okolicy.

— Zgadujesz, Potter.

Potter pokręcił głową.

— Jeśli widzi się wystarczająco dużo, reszty dosyć łatwo można się domyślić. Oni też to wiedzą. Myślisz, że przejmuję się górnikami? Ani trochę. To innych ludzi się boję!

— W takim razie lepiej już ruszaj.

Potter wstał i przekradł się do drzwi.

— Pojedź szlakiem górą, grzbietami, i skręć w stronę bagna. Zobaczysz, co znajdziesz.

Wślizgnął się przez drzwi i zamknął je cicho za sobą.

Rawson zgasił światło i wyszedł z chaty, ruszając prosto do stajni. Osiodłał konia, przeprowadził go pięćdziesiąt metrów wzdłuż ulicy i wprowadził w lukę między budynkami Sklepu Easterline'a. Wszedł do środka i po piętnastu minutach powrócił z dwoma torbami do siodła,

wypełnionymi złotym pyłem z sejfu Easterline'a. Kiedy przekroczył potok i ruszył ścieżką w górę, w stodole Tilsona nie było widać żadnego światła, lecz u płotu corralu zauważył sylwetkę srokacza Tilsona. Odjechał kompletnie ciemną ścieżką.

W tym czasie Tilson przykucnął w połowie wschodniej ściany wąwozu, czekając aby zidentyfikować poruszający się cień, który wcześniej zauważył, wspinając się drogą na cmentarz. Mając dobry widok z góry, zobaczył wychodzącego z chaty Rawsona mężczyznę, który następnie dosiadł konia i skierował się pod górę. Kiedy przekraczał drogę do cmentarza, znalazł się w odległości dziesięciu stóp od Tilsona, który, leżąc rozciągnięty płasko na ziemi, rozpoznał go.

Nie miał broni, inaczej w jednej chwili zastrzeliłby Pottera. Leżał w ciszy, dopóki Potter nie zniknął, po czym zszedł ze wzgórza i szybkim krokiem udał się do saloonu. Wmieszał się w tłum i przepychał się tak długo, aż zwrócił na siebie uwagę von Sterna. Zaraz potem wyszedł z saloonu, okrążył tylne drzwi i wszedł do małego pokoju na tyłach baru, pełniącego funkcję sypialni von Sterna. Po chwili Von Stern wszedł do środka i szybko zamknął za sobą drzwi.

— Nie podoba mi się to, Veen.

— Widziałem Pottera. Myślę, że wyszedł od Rawsona. Postanowił zniknąć stąd.

Twarz Von Sterna stężała. Pokręcił głową.

— Nie wie zbyt wiele, to nic nie zmienia.

— Może wiedzieć więcej, niż nam się wydaje. Zawsze kręcił się po szlakach, wypatrując jakiegoś górnika jako łatwego celu. Sądzę, że coś mógł wypatrzeć. Jeśli się wystraszył, to zwieje prosto do Klickitat, ale coś powiedział Rawsonowi.

— Zastanowię się nad tym — odparł von Stern. — Trzymaj się od tego z daleka. Co ty próbowałeś zrobić dzisiejszego wieczora?

— Niech go szlag, on nie może mnie tak popychać.

— Od tego też trzymaj się z daleka. Za każdym razem, gdy się wtrącasz, wygląda to na moją rękę lub twoją. Gdzie jest Fay?

— Ruszył z powrotem.

— W porządku — stwierdził von Stern i patrzył, jak handlarz koni otwiera drzwi, przeciska się przez szparę i znika w ciemnościach. Pomyślał, że w tym właśnie tkwi problem - w złej ocenie ludzi, z którymi przyszło mu pracować nad tą sprawą.

Przemykając się przez kompletnie ciemne góry, Rawson jechał tak długo, aż był pewien, że minął wylot bocznego szlaku do Portuguese Camp, zjechał ze ścieżki i zawinął się w przytroczony do siodła koc. O brzasku był już znowu w drodze, zziębnięty człowiek na rozdrażnionym koniu. Słońce wzeszło tuż powyżej wierzchołków sosen, ale w ich nieustannym cieniu, panował przenikliwy chłód.

W dole, choć nie mógł go dostrzec, znajdował się wojskowy posterunek Camp Wilson - pół tuzina otoczonych palisadą chat - w którym stacjonował szkieletowy szwadron kawalerii Carrico.

Kolejne pół godziny jazdy doprowadziło go do następnego bocznego szlaku, prowadzącego zakosami w dół zbocza góry, którym, pamiętając o

radach Pottera, podążył. Trzy mile dalej szlak rozwidlał się: prawa odnoga zmierzała wprost na bagna, które były już niedaleko, a lewa odchodziła na zachód od bagien i prawdopodobnie wychodziła za nimi, gdzieś za chatą Faya Millera.

Podążył prawym rozwidleniem, zjeżdżając z ostatniego fragmentu zbocza, wprost na skraj bagna, i znalazł się przed obszarem, który wydawał się nie do przebycia. Szlak wydawał się tutaj kończyć, lecz kiedy przyjrzał się dokładniej, zobaczył, że wije się on od jednego na wpół stałego pagórka do drugiego, omijając powalone drzewa i znikając w gęstych zaroślach. Wszędzie stała czarna i cuchnąca woda, obrzeżona odwiecznym, błyszczącym ciemną barwą błotem; koń, opuszczając głowę, by lepiej widzieć takie podłoże, stał bez ruchu, dopóki go nie popędził.

Poruszając się z ostrożnością, pokonał ćwierć mili, zanim zatrzymał go opór stawiany przez konia. Znalazł się na miniaturowej wysepce o szerokości dwudziestu stóp, spoglądając przez dziesięciostopowy pas martwej wody na inną podobną wysepkę; szlak wchodził do wody i wychodził z niej ponownie, ale kiedy popatrzył w wodę, nie dostrzegł żadnego miejsca zdatnego do przeprawy. Zsunął się z siodła, wziął długą na metr uschniętą gałąź i zanurzył ją w błotnistej wodzie; kij wszedł na całą długość i nie dotknął dna.

Przeszedł przez zarośnięty pagórek, na jego drugą stronę, i od razu zauważył, że źle odczytał szlak; podążał tędy, przechodził groblą starej tamy bobrowej, dotykał kolejnego pagórka i jednym okrężnym zakrętem docierał do wyspy, którą widział po drugiej stronie pasa wody. Pomyłka zaniepokoiła go i okrążył pagórek, by znaleźć drogę powrotną. W każdym kierunku widok był taki sam - wykroty, zarośla, obumierające żywe drzewa i jedynie małe skrawki twardej ziemi otoczone czarno połyskującą wodą. Wydawało mu się, że dostrzegł drogę, którą przybył, więc natychmiast podszedł do konia i zawrócił.

Zgubił się jeszcze dwa razy, zanim w końcu dotarł do twardego gruntu na skraju wzgórz i wydostał się na niego dobre sto jardów od punktu wejścia, lekko spocony.

W tym miejscu nie sprawdziłoby się nic poza doświadczeniem, a gdy na bagnach zaczną osiadać cienie, nawet doświadczenie nie byłoby zbyt wielką pomocą. Jednak ktokolwiek go postrzelił, przybył z bagien i używał ich jako schronienia.

Wrócił na szlak na szczycie pasma wzgórz i podążał nim, aż po południu stopniowo zjechał do Deer Valley za domem Lasswella. Wypuścił konia na pastwisko i usadowił się, by podrzemać w łagodny dzień; w porze kolacji zobaczył na dnie doliny dyliżans i zatoczył szerokie koło wokół Lasswella aż do kamienistej szczeliny biegnącej przez Head of the Mountain i tam zaczekał.

Przeniósł torby do dyliżansu, kiedy godzinę później nadjechał Barney, i wrócił do Lasswella na kolację. Bart Lennon, po skończonym kursie, już zjadł i siedział spokojnie na podwórzu z fajką w ustach, rozkoszując się łagodnie zapadającym zmierzchem. Po posiłku Rawson dołączył do niego na papierosa, dając koniowi czas na dokończenie worka owsa, a gdy tylko worek opustoszał, Rawson wyruszył w drogę powrotną.

Kiedy mijał chatę Faya Millera, było już ciemno. Na bagnach otoczyła go cisza, która nie była zupełną ciszą – wypełniały ją odgłosy ukradkowego poruszania się różnych nie wzbudzających echa stworzeń, mlaszczące ruchy pod powierzchnią błota, pluski rozszerzonych nozdrzy wynurzających się, by wyłapać jego zapach, gdy przejeżdżał, żywych istot zastygających na chwilę jak kamień, kiedy znajdował się w ich pobliżu. Napięcie tego miejsca działało na niego tak mocno, że gdy dotarł na łąkę Pennoyera, poczuł ulgę. Była północ, ale w chacie paliło się światło, a para koni stała przy drzwiach: Podjechał do przybudówki, zdjął siodło z konia i wrócił do chaty; kiedy wszedł, zobaczył Pennoyera podnoszącego się z krzesła z wyrazem zaskoczenia - niezwykłego zaskoczenia – na twarzy. Przy stole siedzieli i popijali kawę, Fay Miller i jakiś nieznajomy, który przyjechał z Millerem.

Pennoyer powiedział po chwili:

— Przyniosę więcej kawy — i skierował się do kuchni.

Zaskoczyłem go, pomyślał Rawson. Czy było to zaskoczenie, czy coś więcej? Podszedł do ognia i odwrócił się do niego plecami. Nieznajomy towarzysz Millera był dzieciakiem o kościstej twarzy, dużych oczach i kiepskim wyglądzie, a jego ubranie było bardziej brudne, niż powinno być.

Pani Pennoyer przyniosła kawę z kuchni. Rawson pomyślał: Pennoyer nie chce by ją z tym łączono, o cokolwiek tu chodzi. Fay Miller nic nie robił, siedział zamknięty w sobie, gotowała się w nim ogromna energia, ponuro lśniąca mu w oczach.

— Rawson, dlaczego nie zostaniesz po własnej stronie granicy? — zapytał.

— Od kiedy zaczęliśmy tworzyć różne państwa?

— To bagno — wyjaśnił Miller — jest częścią mojego rancza. Trzymaj się od niego z daleka.

— A kiedy to złożyłeś wniosek o przyznanie go, w urzędzie ziemskim? — spytał Rawson. Pił kawę, obserwując Millera znad brzegu kubka.

Młodszy z mężczyzn wstał i ruszył wokół stołu w kierunku ognia. Rawson odezwał się do niego łagodnie.

— Nie stawaj mi za plecami.

Młodszy z mężczyzn zatrzymał się i odwrócił głowę w stronę Millera. Miller skinął na niego głową.

— Nie pozwalaj nikomu wydawać sobie rozkazów.

— Myślę, że to zła rada — zauważył Rawson.

— Turk — rzucił Miller — obejdź go, jeśli chcesz.

Młodszy z mężczyzn pozostał niezdecydowany, na wpół odwrócony i na wpół skrępowany swoją pozycją.

Miller powiedział:

— Tak łatwo blefujesz?

— Może on jest na tyle mądry, by nie wykonywać cudzej roboty — odparł Rawson.

Podniósł się, zrobił pół obrotu i podszedł do ognia; ustawił się plecami do niego, utrzymując obu mężczyzn przed sobą, i zaczął myśleć o Pennoyerze znajdującym się gdzieś we wnętrzu chaty, a może na

zewnątrz, zaglądając przez okno. Musiał liczyć, że jest ich trzech na jednego, jeśli coś się wydarzy.

Miller oznajmił:

— Rzuciłeś do mnie jakieś zdanie, parę dni temu, przy stole. Nie zwróciłem na to zbytnio uwagi. Sprawiło to jednak, że wyglądałem śmiesznie przy ludziach. O co ci chodziło?

— Kiedy ktoś nadeptuje mi na odcisk — odparł Rawson, — odpowiadam mu tym samym.

Miller wstał i przeszedł wokół stołu. Stanął trzy kroki od Rawsona z ochotą i ostrożnością przebiegającymi mu po twarzy. Był bliski decyzji o starciu. Jego dziki temperament prowadził go w tym kierunku, a chłodna kalkulacja go powstrzymywała. Rzucił spojrzenie w stronę Turka, który po chwili wahania obszedł stół i zatrzymał się w pobliżu drzwi kuchennych; to ustawiło go pod bardziej ekstremalnym kątem widzenia Rawsona, i Rawson zawołał do niego.

— Nie stój tam, Turk, chyba że chcesz coś zacząć.

— Tylko tak sobie chodzę — oznajmił Turk.

— Podejdź w stronę drzwi wejściowych — rzucił Rawson. — Tam będę cię lepiej widział.

— Rób jak chcesz, Turk — powiedział Miller.

Rawson podniósł głos.

— Pani Pennoyer, myślę, że lepiej będzie, jeśli wyjdzie pani z kuchni. Jest pani na linii mojego ognia.

Turk wycofał się:

— Dajmy spokój — podszedł i zatrzymał się przy drzwiach wejściowych, za Millerem.

— Z czego ty jesteś ulepiony… z rozkisłej papki? — parsknął Miller. Gniew nie pozwalał mu się powstrzymać. — Załatwmy to tutaj, Rawson. Rzuć broń, a ja rzucę swoją.

— Ja swoją jednak zatrzymam.

— Mogę się z tobą zmierzyć w każdym dowolnym dniu! — zawołał Miller.

— Nie sądzę. Chcesz spróbować?

— Tylko pięści?

— Tak długo, jak ty się będziesz tego trzymał — odparł szybko Rawson. — Jeśli zobaczę coś śmiesznego, nie będę się wdawał w dyskusje. Turk, nie ruszaj się.

— Nawet nie drgnę — zapewnił Turk.

Miller ruszył do walki trzymając nieruchomo dłonie; zatrzymał się w zasięgu Rawsona, a światło ognia zażółciło mu oczy. Rawson wypatrywał oznak zbliżającego się ataku, wokół ust Millera – chwili zaciśnięcia warg, przez którą ludzie się zdradzali - a kiedy je zobaczył, obrócił ciało i zbił lewą rękę Millera, gdy się zbliżała do niego. Uderzył Millera w brzuch tuż poniżej środkowego połączenia żeber. Zabolało to Millera na tyle, że zatrzymał się na chwilę, a Rawson wymierzył cios w twarz mężczyzny, po czym uchylił się krokiem w bok i spróbował dalekiego zamachowego na brzuch swojego przeciwnika. Pięść Millera wystrzeliła z martwego punktu widzenia i zdawała się uderzać w czubek jego głowy.

Wyrzucił ręce do góry i został dotkliwie trafiony w żebra, zanim zdołał opuścić gardę; odskoczył do tyłu, a Miller wściekle popędził za nim. Obrócił się na bok i wyrzucił ramię w stronę Millera, gdy ten przelatywał obok niego. Był zbyt wolny, by złapać przeciwnika; obrócił się i zobaczył, jak Miller się wyrywa. Skoczył na Millera, uderzył go w brzuch i popchnął na krzesło, które, trafiając Millera od tyłu w nogi, podcięło go. Miller wylądował na ramieniu, przeturlał się jak kot i zerwał się z powrotem. Stał przez chwilę, wymachując obiema rękoma. Oznajmił:

— Mam zamiar odesłać cię z powrotem do szpitala, na kolejny miesiąc.

Opuścił głowę, rozpędzając się. Rawson strącił mu ręce w dół i przyjął pełne uderzenie jego dolnej części głowy na podbródek. Odskoczył, zawadził Millera hakiem w twarz podrywając mu głowę do góry. Ciosy Millera trafiały go z lewej i z prawej, i kołysały nim na obie strony. Walnął głową w nos i usta mężczyzny i odskoczył na bok. Szybkie stopy Millera zatańczyły wokół niego, i farmer rzucił się do ataku, dosięgając, chybiając, zderzając się. Rawson obrócił się, zarzucił rękę na szyję Millera i wykonał ostre, skręcające w dół ściągnięcie. Znalazł się za Millerem, zablokował uchwyt i cofnął się, wytrącając przeciwnika z równowagi. Cały ciężar upadającego mężczyzny zawisł wyłącznie na szyi, i Miller zaczął kopać nogami, w nic nie trafiając. Jego wymachy rąk do tyłu także mijały Rawsona. Rawson utrzymywał go w tym zawieszeniu i patrzył, jak Miller robi się coraz bardziej czerwony. Potem upuścił go i okrążył, aby mieć w zasięgu wzroku Turka.

Miller wstał, miał wytrzeszczone oczy i z trudem łapał powietrze szeroko otwartymi ustami; pochylił się na chwilę z powodu braku energii i w ten sposób stał zupełnie otwarty. Rawson zignorował go, bo nagle miał już tego dosyć. Jego chora noga od kostki do biodra wydawała mu się zmieniać w kolumnę płomieni.

— Już wystarczy, Fay.

Miller był wrednym bykiem, chwilowo mocno oszołomionym, ale wciąż niebezpiecznym, jego twarz wyglądała na twarz człowieka naprawdę głęboko wyczerpanego. Lecz szybko powróciły na nią dawna bezczelność i ulotna kpina. Odwrócił się, podszedł do drzwi i zatrzymał na chwilę, by spojrzeć na młodszego mężczyznę. Odezwał się z głębokim sarkazmem.

— Jeśli nie boisz się ciemności, Turk, pojedziemy do domu.

Otworzył drzwi i wyszedł w ciemność. Turk, podążając za nim, zamknął za sobą drzwi.

„To”, pomyślał Rawson, „była jego druga próba wysadzenia mnie z interesu przez zastraszenie”. Był pewien, że to właśnie Miller strzelał do niego. To w pełni wyjaśniało całą sprawę. Kątem oka w drzwiach kuchni dostrzegł Pennoyera.

Pennoyer spytał:

— Zostajesz tu na noc?

— Tak.

Pennoyer wskazał na pokój w rogu.

— Skorzystaj z niego — powiedział i wrócił do kuchni.

Następnego ranka, George von Stern opuścił przed świtem Ophir, wspinając się na położone na zachód od obozowiska wzgórze. Podróżując równym tempem przez deszcz, dotarł do stodoły i przy następnym skręcie w lewo wszedł do nierównego i mocno zalesionego wąwozu. Po pokonaniu mili, wąwóz doprowadził go do stosu skał o wielkości chaty, które osunęły się z półek skalnych wznoszącego się nad nimi wzgórza. I chociaż szlak omijał skały dokoła i podążał dalej wąwozem, aż do jego wyjścia, George skręcił ponownie w lewo, ruszając skrajem osuwiska i dochodząc w końcu do podstawy wzgórza.

Te tysiące ton skał, ziemi i drewna sosnowego, w jakichś dawno minionych czasach, runęło w dół, układając się warstwami jedna na drugiej, a obecnie porośnięte było kolejną generacją drzew. Ledwie widoczna ścieżka poprowadziła go na wprost, do z pozoru ślepego zaułka przy barierze osuwiska; następnie, ostro skręciła, ominęła jedną ze skał, przeszła przez kamienny rozstęp i zakończyła się w naturalnej pieczarze utworzonej przez skały osuwiska. Była ona wystarczająco duża nie tylko dla von Sterna i jego konia, lecz również dla Faya Millera, który czekał już w środku, jego pony i niewielkiego ogniska, rozpalonego przez Millera. Dym unosił się w górę, łapany był przez wiatr i wciągany głębiej w rumowisko skał.

Miller wypomniał von Sternowi:

— Czekam od dwóch godzin - cholernie ponure miejsce.

— Co ci się stało w twarz?

— Biłem się wczoraj z Rawsonem. Co on robił u Pennoyera? Tilson miał go śledzić.

Von Stern przysiadł na piętach i wyciągnął dłonie nad ogniem.

— Ta sprawa ze złotym pyłem wkrótce się skończy. Musi go dostarczyć do Klickitat. Gdyby próbował przemycać po trochu za każdym razem, nie uda mu się zmniejszyć zaległości. Zrobi to, co ja bym zrobił - załaduje wszystko na jeden kurs i spróbuje przejechać z czterema lub pięcioma ludźmi na straży w dyliżansie.

— Zapowiada się ciekawie — stwierdził Fay Miller.

— Oczekuję, że zorganizujesz to w taki sposób, aby nie doszło do walki.

— George, rusz głową. Oczywiście, że walka jest nieunikniona. — Wskazał palcem prosto na von Sterna. — Jak myślisz, ile zarobimy za ten ładunek?

— Około dwustu tysięcy. Nie chcę kłopotów, Fay.

— Coś ci się pomieszało, George. Oczekujesz, że będę strzelał do ludzi, ale mam w nich nie trafiać. I to w takiej sytuacji, gdy w każdej chwili może zwalić nam się na głowę piekło? To niemożliwe.

Brązowe oczy Von Sterna podniosły się na Millera.

— To wina tego twojego nerwowego palca. Tamta strzelanina nie była potrzebna. Rawson jest w obozie lubianym człowiekiem i wszyscy mu współczują. W rezultacie cały obóz zastanawia się nad tym, co się dzieje. Rozpocząłeś też pewną sprawę, którą musisz szybko zakończyć. Potter

jest na wolności. Carrico wypuścił go ze aresztu, a przedwczoraj Tilson widział, jak wychodził z chaty Rawsona.

— Niewiele wie — stwierdził Miller. Zamyślił się i pokręcił głową. — Ale ta mała łasica mogła coś wyłapać, obserwując szlaki.

— Zajmij się tym — powiedział von Stern. — I zrób to szybko.

Mocny stukot deszczu o dach chaty sprawiał, że bijące z pieca ciepło wydawało się wyjątkowo przytulne i wygodne. Evelyn położyła poduszkę na podłodze i uklękła przed panią Easterline z centymetrem, mierząc kobietę na potrzeby nowej sukienki. Pani Easterline cierpliwie stała nieruchomo.

— Jaki dziś dzień tygodnia? — spytała.

— Piątek — odpowiedziała Evelyn i uniosła wzrok, by zobaczyć wiele mówiący wyraz ust swej modelki.

Przymiarka dobiegła końca, Evelyn zaparzyła herbatę i obie usiadły we frontowym pokoju, na pogawędkę.

— Zazdroszczę ci skóry — oznajmiła pani Easterline. — Moja jest taka szorstka. To przez powietrze. Aż strach pomyśleć, jak będę wyglądać po czterdziestce.

— To bardzo daleka perspektywa.

— Za bliska. No cóż, to bez znaczenia. Wszystko i tak jest darem losu, a nawet dobre dary przychodzą zbyt późno. — Jej wzrok padł na kubek. — Czy w obozie mówi się coś o mnie?

Evelyn spytała:

— Dlaczego nie wyjedziesz z Ophiru?

— Mój mąż zarabia tu na życie.

— Więc jedź sama. Z pewnością jesteś nieszczęśliwa w tym miejscu.

— Jeszcze bardziej nieszczęśliwa byłabym gdzieś daleko stąd.

— Czy ty i Ad nie moglibyście coś z tym zrobić?

— On robi to, co każe mu armia. Nie mogę go poprosić by zrezygnował. To jego zawód. Nie mogę także rozwieść się z Easterlinem. Obciążałoby to historię zawodową Ada, gdyby się ze mną ożenił, a ja nie byłabym społecznie akceptowana w armii.

— Zabrzmiało to, jakbyś nie poprosiła Ada o nic. Może on by to zrobił.

Beth Easterline wzruszyła ramionami i odpowiedziała na spojrzenie Evelyn rzeczowym i bezpośrednim wyrazem twarzy. Zastanowiła się chwilę i odparła:

— Będziemy to ciągnąć, dopóki coś się nie wydarzy. Może Ad zostanie przeniesiony - to normalna rzecz. Albo może znudzi się tym, a może ja to się znudzę. — Jej uśmiech przebił się szybko i ostro przez dramatyczną powagę twarzy. — Powiem ci coś w zaufaniu. Nie mam zamiaru się rozwodzić ani opuszczać Easterline'a.

Nagle roześmiała się do Evelyn i wyszła z jej chatki.

Evelyn umyła kubki po herbacie i wróciła do frontowego pokoju, by kontynuować pracę. Opuściło ją jednak ochota, w pokoju było duszno, a rozmowa Beth Easterline zaniepokoiła ją. Owinęła głowę szalem, okryła się

grubym płaszczem i wyszła w chłodne popołudnie, by rozładować napór myśli. Z komina chaty Rawsona unosił się gęsty dym. Zauważyła go godzinę wcześniej, jak wjeżdżał do miasta i mijał jej drzwi, ubłocony i nieogolony. Coś interesującego zatrzymało go na wzgórzach na dwa dni i miała nadzieję, że zamierza wpaść do niej po tym, jak już o siebie zadba, i opowiedzieć jej o tym. Tego ostatniego jednak chyba nie powinna się spodziewać. Był w trudnej sytuacji i nikomu nie mógł zbyt wiele mówić. Pomyślała sobie: „Chcesz mówić czy nie, po prostu przyjdź.” Nagle okazało się, że dwa dni z dala od osoby, której się pragnęło, to bardzo dużo czasu.

Dwóch mężczyzn, prowadzących za sobą załadowanego jucznego konia, podjechało do kuźni, a z różnych części obozu zaczęli schodzić się ludzie, aż wokół tego miejsca zebrał się niewielki tłumek. Był to początek pierwszego z wielu szarych dni; wiatr wzmógł się, a deszcz padał jeszcze mocniej. Evelyn, wciąż niespokojna, wróciła do swojego domku. Napełniła piec drewnem i zapaliła lampę. Potem, lekko głodna, zaparzyła dzbanek kawy, znalazła kawałek gotowanego bekonu ze śniadania i zjadła go z kromką chleba i gotowanymi morelami. Zaczęła nasłuchiwać, czy ktoś nie zbliża się do drzwi, ale kiedy rozległo się pukanie czyichś dłoni - mocne trzy stuknięcia dłoni George'a von Sterna - przeszła przez nią nieprzyjemna fala wstrząsu. Odetchnęła, powiedziała: „Wejdź” i patrzyła, jak przechodzi przez drzwi.

Zamknął je za sobą i podszedł do niej, a na jego twarzy wyraźnie rysowała się kamienna maska powagi. Wiedziała, że to oznaka wzburzenia; podjął decyzję w jakiejś sprawie i zamierzał ją oznajmić. Wskazała na drugie krzesło w pokoju. Pokręcił głową.

— Nie, Evelyn. Chcę to wyjaśnić do końca. Zbyt wiele lat spędziłem przy pokerowym stole, by nie dostrzegać zachodzących zmian. Chcę wiedzieć, co się między nami zmieniło.

Spytała:

— Kto przyjechał do kuźni… kogo tam wnieśli?

— To tylko kolejny trup. Ten mały włóczęga. Potter. Ktoś go zastrzelił w Mulehide Gulch.

— Ten, którego Ad Carrico wyrwał z rąk górników? — Przypomniała sobie tę scenę. — To smutne.

— A co jest smutnego w przypadku takiego człowieka? Biorąc pod uwagę całe dobro, które uczynił, albo cały pożytek z niego, równie dobrze mógłby się w ogóle nie urodzić.

— Nie masz w sobie zbyt wiele współczucia, George. Można by pomyśleć, że powinieneś, widząc w swoim saloonie tyle smutków.

Wciąż jej się przyglądał, a jego ponura zawziętość nie ustępowała.

— Na czym polega ta zmiana, Evelyn?

Nalegał na nią, aż poczuła się osaczona. Jej serce przyspieszyło. Musiała szybko wypowiedzieć te słowa.

— Nie przychodź tu więcej.

— Dlaczego? Czy chodzi o Hugh?
— Nic takiego nie powiedziałam.
— Ale czy tak jest?
— George, nie zawstydzaj mnie, mówiąc mu o tym.
— Wiesz, że on ma wątpliwości, prawda?
Odparła:
— Tak — po czym dodała: — Ale skąd ty wiesz? Rozmawialiście o mnie?
Pokręcił głową.
— Nie było takiej potrzeby. Wiem, co siedzi w jego głowie.
Chwila nadziei pojawiła się na jej twarzy.
— George, myślisz, że mógłbyś mu coś powiedzieć, żeby to wyjaśnić?
— Ja? — powiedział. — Dlaczego miałbym to robić? Czy uwierzyłby mi, gdybym to zrobił?
Lekko machnęła ręką.
— Nie, to by nic nie dało. Zapomnij o tym.
Włożył obie pięści do kieszeni, zaczął mocno krążyć po pokoju i zatrzymał w rogu za nią.
— Evelyn — powiedział — nie jesteś kobietą, która powinna spędzać czas w takim baraku. Zostałaś stworzona dla pięknych ubrań, wspaniałego domu, pełnego kosztownych drobiazgów. To wszystko może być przed tobą. Ja mogę to osiągnąć - Rawson nigdy tego nie zdoła.
— To nie są rzeczy, których pragnę najbardziej.
— Kiedyś były — zauważył. — Na początku mnie lubiłaś.
— Nie, nigdy do końca. Pociągało mnie to. Myślałam o tym - myślałam o tobie, jeszcze do niedawna, ale nigdy w sposób, w jaki byś sobie tego życzył.
— Dlaczego… dlaczego?
— Nikt nie potrafi wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje.
Wpatrywał się w nią, a jej wydawało się, że widzi jak powolny ciemny ogień płonący w tym mężczyźnie, rozjaśnia się do znacznie gorętszych emocji. Podejrzewała, że George może być niebezpieczny, a teraz była tego pewna. Nie miał w sobie dość wdzięku ani tolerancji, by wybaczyć; miał tak mało ludzkich cech. Skinąwszy głową, wyszedł na dwór.
Stał przez chwilę pod jej drzwiami, po czym wrócił do swojego saloonu. Zobaczył Rawsona przy barze i przyłączył się do niego. Kiwnął na barmana, który przyniósł butelkę i szklaneczki i w milczeniu nalał dwa drinki. Zrobił krótki wypad szklaneczką w stronę Rawsona, wypił i odstawił butelkę na bok.
— Nigdy nie widziałem, żebyś pił o tej porze dnia — powiedział Rawson.
— Zawsze nadchodzi taki czas, kiedy człowiek robi się cholernie dobry i zmęczony swymi dawnymi nawykami. — Położył ręce na barze, opierając na nich ciężar ciała. Skinął głową w stronę sejfu. — Przepełnia się. Przychodzi nowy towar, chcesz włożyć część z tego do swojego sejfu?
— Będę to robił, kurs po kursie.
— Lepiej zacznij. Nie lubię mieć wokół siebie tyle złota.

— Już zacząłem — odparł Rawson. — Poprzedniej nocy wziąłem dziesięć tysięcy od Easterline'a i zawiozłem je konno do Head of the Mountain. Stamtąd zabrał je Rheinmiller.

— Nie rób tego. Jeśli to się wyda, już nigdy nigdzie się nie ruszysz bez ryzyka zarobienia guza.

Skierował się do małego pokoju w rogu, zamknął drzwi i zaczął miarowo dreptać w tę i z powrotem, z cygarem tlącym się między zębami.

Po wyjściu von Sterna Evelyn nie miała ochoty na pracę. Siedziała przez dłuższą chwilę w fotelu, analizując rozmowę i czując się nieszczęśliwa z powodu niekonsekwencji, jaką musiała okazać George'owi. Cała ta scena sprawiła, że czuła się zmęczona, lecz niepokój nie ustępował, a poczucie dryfowania bez celu stawało się coraz silniejsze. Wstała, aby zrobić sobie kawę i przystanęła w pokoju od tyłu, by ją wypić. To jednak nie pomogło, więc założyła płaszcz i wyszła z chatki. Nie uszła jednak zbyt daleko przez deszcz, gdy spotkała Rawsona, który właśnie wyszedł z saloonu.

— Nie chodź sama po nocy, Evelyn - to nie jest takie bezpieczne — powiedział.

Wziął ją za rękę i zaprowadził z powrotem do jej chatki. Otworzyła drzwi, weszła do środka i odwróciła się. Chciała z nim porozmawiać, chciała, aby rozmowa trwała i trwała, dopóki nie wyjdzie na jaw, że zerwała z von Sternem, ale to było trudniejsze niż myślała i stała tylko irytująco bezradna, lecz uśmiechnięta i pragnąca go uszczęśliwić.

— Gdzie byłeś?

— Włóczyłem się po wzgórzach.

Powiedziała:

— Muszę w najbliższym czasie zobaczyć się z panią Jeffroy w Portuguese Camp.

— Jeśli chcesz coś jej zawieźć, zrobię to za ciebie jutro rano. Będę jechał w tamtym kierunku.

— Nie, obiecałem jej tylko, że ją odwiedzę. Czy szlak jest w porządku?

— Całkiem niezły; nie wiem tylko, czy powinnaś jechać sama.

— Więc pozwól mi pojechać z tobą.

— Wrócę dopiero późno.

— To wrócę sama - albo zaczekam.

Jego wyraz twarzy zdradził jej, że myśli o von Sternie.

Czekała, mając nadzieję, że o tym wspomni, a wtedy będzie mogła mu powiedzieć, co się stało. Zamiast tego skinął głową i rzucił:

— To będzie wcześnie. Piąta rano.

— Przyjdź tu najpierw, to cię nakarmię.

— W porządku — odparł.

Został jeszcze trochę, nie mając ochoty odchodzić i być może pragnąc wejść do środka. Ale teraz musiała być w stosunku do niego uważna, więc powiedziała:

— Dobranoc, Hugh — i zamknęła drzwi.

Była niewyobrażalnie szczęśliwa i popatrzyła na suknię pani Easterline po raz pierwszy tego dnia z energią.

— Teraz ty — oznajmiła, usiadła przed nią i zaczęła pracować.

Rawson wszedł do swojej chaty i od razu z niej wyszedł, przez drzwi szopy, i ruszył wzdłuż tyłów kilku chatek, aż znalazł ciemne miejsce na ulicy, przechodząc nim do sklepu Easterline'a. Wszedł od tyłu i stanął na chwilę w kuchni z Beth Easterline, podczas gdy sklepikarz napełniał parę toreb do siodła złotym pyłem z sejfu.

Pani Easterline spytała:

— Czy może zrobić ci kawy?

— Napiłam się dosyć przyzwoitego trunku - prosto z prywatnej butelki von Sterna - i chcę zachować jego smak na języku.

Easterline wrócił z ciężkimi torbami, a Rawson skrył się w ciemności, wracając do swojej chatki. Bart Lennon czekał na niego w pokoju frontowym. Patrzył, jak Rawson wrzuca torby do sejfu i przekręca pokrętło szyfratora na jego drzwiach.

— Powiedziałem dziś von Sternowi, co robię — poinformował go Rawson.

— O tym ładunku?

— Nie, o ostatnim ładunku. Ale jeśli ma jakiegoś obserwatora, to będzie wiedział również o tym ładunku.

— Do diabła — powiedział Lennon. — Sam się prosisz o kłopoty. Jeśli zastrzelą cię w lesie, co ci da odkrycie, że von Stern jest oszustem? Będziesz martwy.

— Nie będę, Bart. Postanowiłem nie umierać.

Bart Lennon nie był usatysfakcjonowany odpowiedzią i siedział z widocznym przygnębieniem na twarzy.

— Więc, gdzie zamierzasz spotkać się jutro z dyliżansem? Znowu w Head of the Mountain?

— Nie tak daleko. Będę na drugim leśnym odcinku za Millerem. To około drugiej. Wyprowadzi nas to poza bagna - a bagna to jedyne miejsce, o które się martwię.

— Nie przejmuj się zbytnio dalszą trasą. Ale to nie wystarczy. W tym tempie musiałbyś odbyć konno ze dwadzieścia przejazdów, aby usunąć z Ophiru nagromadzony złoty pył. Twoje szanse są cholernie małe.

— To już ostatni. Przy następnym kursie załadujemy wszystko na dyliżans i ruszymy w drogę.

— Na pewno pożegna nas orkiestra dęta i całe hrabstwo.

— Będziemy mieli na dyliżansie cały tłum. Ty i ja. Namówię Rheinmillera, żeby przyjechał i pojechał z nami. Znajdziemy jeszcze paru ludzi.

— Znalezienie paru innych ludzi, którzy będą chętni to zrobić — powiedział Bart Lennon. — To twój problem.

— Carrico i pół tuzina żołnierzy.

— Wbrew przepisom armii.

— Tak, jeśli zrobić to w otwarty sposób. Ale w regulaminach nie ma nic, co uniemożliwiałoby mu przebywanie na drodze, w określonym miejscu, o określonej porze.

— Gdzie niby ma być - na bagnach? Nie możesz mieć pewności, że zostaniesz tam zaatakowany. To może być gdzieś dużo dalej, a wtedy Carrico będzie czekał w złym miejscu i nic ci nie pomoże.

— Są tylko dwa miejsca, w których możemy zostać zaatakowani — odparł Rawson. — Będziemy jechać przez bagna za dnia, ale jest tam wystarczająco dużo osłony, by przeprowadzić atak. Dalej mamy otwarty teren i światło dzienne aż do Head of the Mountain, więc zostawią nas tam w spokoju. Pozostają tylko ewentualne problemy podczas nocnego odcinka, gdzieś między Head of the Mountain, a obrzeżem pustyni. Tam jest to drugie niebezpieczne miejsce. Możemy to ustalić. Carrico będzie na bagnach w czasie, kiedy będziemy przejeżdżać, pozostając w ukryciu. Jeśli nic nam się nie stanie, może wycofać się na wzgórza i zaczekać na nas za Lasswellem, w nocy. Może pojechać za nami w dół zbocza, na pustynię. To cała ochrona, jakiej potrzebujemy.

— Zrobi to?

— Myślę, że tak.

Lennon wstał. Powiedział:

— Nie podoba mi się ta twoja jutrzejsza podróż. Jeśli nie zobaczę cię o drugiej, to co mam myśleć?

— Po prostu jedź dalej i zapomnij o tym. Ale będę tam.

Lennon skinął głową i opuścił chatę. Idąc ulicą w kierunku swojej chaty, zauważył ludzi w kuźni, lecz minął ich nie zatrzymując się; a za sklepem Easterline'a zobaczył pojedynczy cień na ścianie stajni, zbyt niewyraźny, by go zidentyfikować. Gdy poszedł dalej, cień oddalił się od stajni i ominął sklep Easterline'a, a światło sklepu oświetliło na chwilę wąskie policzki i sprężyste ciało Tilsona. Tilson dotarł do saloonu i wszedł przez po ciemku przez tylne drzwi. Odczekał pięć minut, zanim von Stern pojawił się od frontu.

— Rawson wyszedł od Easterline'a z parą załadowanych toreb do siodła. Co on robi?

— Znowu? — powiedział von Stern i zastanowił się przez chwilę. — To złoty pył, który przewozi konno.

— Przez całą drogę?

— Nie, do odcinka za Lasswellem.

— Chcesz coś zrobić?

— Zostaw to w spokoju. To drobnostka.

— Drobne czy nie - to złoty pył — oznajmił Tilson.

— On wie, że ja o tym wiem. Gdyby został napadnięty, domyśliłby się, że wiadomość wyszła ode mnie. — Potem zamarł w długim bezruchu, a jego spojrzenie wbiło się w Tilsona z zaskoczeniem i domysłem. — I dlatego mi o tym powiedział. Na Boga, zastawił na mnie pułapkę. Nie, zostaw to w spokoju.

Tilson opuścił saloon, przeszedł przez potok do swojej stajni i stał w niej przez krótką chwilę. Miał rozkazy od von Sterna, ale nie mógł oderwać myśli od tych toreb. Mało czy dużo, złoto to złoto. Po co pozwalać mu przejść koło nosa? To mogła być jego prywatna sprawa, nikt nic by nie wiedział.

Wdrapał się na wzgórze do obrzeża corralu, sprowadził na dół srokacza, osiodłał konia i zostawił go w przybudówce, po czym przekroczył potok i ruszył ulicą, by po drodze zajrzeć przez okno Rawsona. Rawson wciąż był w środku. Po powrocie do stajni odwrócił się plecami do ściany, przykucnął w gęstym cieniu i uspokoił się przed długim oczekiwaniem.

Deszcz ustał w nocy, ale niebo o piątej trzydzieści było tak gęste od ciężkich chmur, że światło dzienne jeszcze się przez nie nie przebiło. Wspięli się konno na szlak wiodący nad wąwozem i niemal natychmiast zagłębili się w gęstą czerń lasu.

Spytał:

— Masz gruby płaszcz? Zaraz znowu będzie padać. To nie jest dobry dzień na wycieczkę.

— Musiałam wyjechać z obozu.

Godzinę później ponury świt zakradł się nad wzgórza, a on odwrócił się w siodle i zobaczył ją, jak obserwuje otaczające ich mleczne poranne cienie, z pełnym przyjemności zainteresowaniem. Miała na sobie kraciasty pledowy płaszcz, którego kołnierz otaczał jej policzki niczym ciemne płatki kwiat. Mokry poranek położył się jej na obliczu cienką warstwą wody, w tym słabym świetle jej oczy wyglądały na ostro niebieskie, zaś jej twarz przybrała wyraz, zwłaszcza w okolicy oczu i ust, który zawsze go przyciągał - lekkiej powagi, gotowej do niemal natychmiastowego przekształcenia się w uśmiech.

Dojechali do terenu wypalonego pożarem i zatrzymali się na chwilę, by podziwiać widok na rozciągającą się w dole dolinę, nad którą wisiały niskie chmury, z których teraz lał deszcz. Obrócił się mocniej w siodle, aby na nią popatrzeć.

— Duża kropla deszczu właśnie spłynęła ci po policzku. Pięknie musisz wyglądać kiedy płaczesz.

— Ja nigdy nie płaczę. To oznaka słabych nerwów. Ja jestem silna jak koń.

— Prawdę mówiąc, nie wyraziłem się dobrze. Pewne rzeczy pokazują się wokół ust, a nie w oczach.

Jechali dalej do skrętu na Portuguese Camp. Skręcili w mniejszy wąwóz, podążali krętym szlakiem przez dwie mile i natknęli się na osadę składającą się z sześciu domków, z których wszystkie oprócz dwóch były opuszczone i pozbawione kominów, przycupnięte na hałdach żwiru i kikutach drzew, niegdyś kwitnącego obozu. Obecnie nie było tu nikogo poza Pearl Jeffroy i jej mężem. Gdy podjechali, w drzwiach stanęła ciemnoskóra kobieta w średnim wieku, ubrana w nijaką sukienkę; jej twarz była gładka, oczy czujne i wścibskie, a wygląd młodszy niż faktyczny wiek.

Oznajmiła, z największą przyjemnością:

— Proszę, Evelyn. Po prostu to wiedziałam. Potrafię rozpoznać, kiedy ktoś jedzie tym szlakiem. Na długo zanim go zobaczę. — Wokół nich zaczął stukać mocniejszy deszcz. — Wejdźcie do środka.

Potem popatrzyła na Rawsona.

— Znam cię. Prowadzisz dyliżans. — Przeniosła spojrzenie z Evelyn na Rawsona i zaczęło ją bawić ciepłe podejrzenie.

Rawson zsiadł, by pomóc Evelyn zejść z siodła. Powiedział:

— Powinienem wrócić przed szóstą. Moglibyśmy dotrzeć do Ophiru przed dziewiątą.

— Poczekam na ciebie.

Brązowa kobieta obiecała:

— Przygotujemy dobrą kolację — i jej uwaga skupiła się na Rawsonie, który wrócił na siodło i pojechał z powrotem wzdłuż szlaku. Nie patrząc na Evelyn, spytała. — Twój mężczyzna?

— Nie.

— Chcesz go?

Evelyn roześmiała się.

— Ależ, pani Jeffroy!

CZĘŚĆ 2

Rawson dostrzegł ślady człowieka od razu, gdy tylko na nie natrafił, ponieważ dla niego, tak jak dla każdego jeźdźca na zachodzie, ziemia i pojawiające się na niej zmiany były bardzo interesującą księgą, z której tylko czasami jakieś co bardziej tajemnicze fragmenty, mogły stanowić wyzwanie dla jego zdolności ich zrozumienia. Dodatkowe odciski końskich kopyt mieszały się z tropami Evelyn i jego własnymi; fakt, że dotarły tak daleko i gwałtownie zawróciły, był ostrzeżeniem, którego natychmiast posłuchał, kierując konia w prawo, do lasu. Z tego osłoniętego miejsca zauważył, że ślady nieznajomego wskazywały na powolne poruszanie się naprzód po ścieżce i szybkie wycofywanie się. Ten koń miał małe stopy; mały koń, może i mały człowiek.

Nie mógł być pewien, czy ktoś go śledził, lecz biorąc pod uwagę złoto w torbach przy siodle, był to jedyny scenariusz, który mógł bezpiecznie przyjąć. Prawdopodobnie ten człowiek zauważył go wychodzącego z domu Jeffroya i chciał się wycofać na pewną odległość, aby przygotować się do ataku.

Wycofał się jeszcze dalej w głąb drzew i szukał wśród nich jakiejś przejezdnej drogi. Deszcz trochę szumiał, a wiatr szeleścił w wierzchołkach sosen, dźwięki te skrywały wszelkie odgłosy wywoływane przez jego konia. Woda pryskała na niego, gdy odsuwał na boki zwisające gałęzie sosen; w pewnej chwili koń wzdrygnął się, gdy uderzył w niego taki zimny prysznic i, nie rozumiejąc powodów wyboru tego rodzaju drogi na ślepo, zawrócił w kierunku szlaku. Rawson popchnął go jednak dalej. Poruszając się wzdłuż szlaku, w tym powolnym tempie, nieustannie obserwował teren po lewej, ostrożnie okrążał każde drzewo, omiatał wzrokiem każde nowe miejsce dające jakąś lepszą widoczność, i podążał cały czas dalej z nerwami napiętymi jak postronki.

Pół godziny - bardzo długie pół godziny - takiego marszu, doprowadziło go do głównego szlaku do Ophiru. Deszczowa mgiełka opadła niżej, aż tumany srebrzystej mgły skryły zupełnie zarówno szlak, jak i las, w odległości powyżej stu stóp, a chociaż odjazd do Portuguese Camp położony był po jego lewej ręce, nieco bliżej niż wynosił ten dystans, nie mógł go dostrzec. Pomyślał: „Co ja bym zrobił na miejscu tego człowieka!”. Spróbował wejść w jego skórę, zmienić się w myśliwego polującego na innego człowieka. To nie dało satysfakcjonujących

rezultatów; było zbyt wiele zmiennych. Odbił w prawo, poruszając się obok szlaku, aż znalazł się daleko od odjazdu do Portuguese Camp; następnie szybko przekroczył główny szlak, skręcił w lewo i przeszedł między drzewami, aż stanął naprzeciwko rozjazdu, zaglądając w głąb węższego szlaku na odległość około stu stóp.

Widział ślady człowieka schodzące do głównego szlaku i w niego skręcające, jednak tutaj tworzyły one na gąbczastej ziemi nierówny wzór i znikały gdzieś w sosnach po drugiej stronie drogi. To nic nie znaczyło, ten człowiek wiedział teraz, że został zauważony. Nie udało mu się zaskoczyć Rawsona. Co miał teraz zrobić - zrezygnować czy odjechać gdzieś dalej i spróbować zastawić nową zasadzkę? Rawson, zmuszony do podjęcia decyzji, popędził ostro konia ostrogą i przemknął przez główny szlak, kryjąc się w głębi lasu po jego drugiej stronie, z mięśniami napiętymi w oczekiwaniu w każdej chwili kuli.

Rozluźnił się z trudem i ruszył do przodu, podążając za śladami kopyt konia tego człowieka, odciśniętymi w miękkiej leśnej próchnicy. Po trzystu jardach wciąż prowadziły one wzdłuż szlaku, z czego wywnioskował, że mężczyzna zamierzał przemieszczać w ten sposób przez cały czas; będąc niewidocznym ze szlaku, lecz kontrolując go i obserwując wszystko, co mogłoby się na nim pojawić.

Gdy tak jechał powoli śladem przeciwnika, pojawiło się przed nim podnóże wschodniego grzbietu Mulehide, tworzące wzdłuż szlaku coś podobnego do stromego zbocza niewielkiego wzgórza. Wkrótce stanął na wprost tego wzniesienia i przyjrzał się, jego wyższym partiom, porośniętym drzewami, prawie aż po najwyższy punkt. W tym miejscu zatrzymał się na chwilę. Tropy nieznanego człowieka mijały zbocze, i teraz zdawały się schodzić na szlak, najwyraźniej wybierając łatwą drogę wokół podnóża wzgórza. Jednak patrząc na to wzniesienie terenu, Rawson poczuł się nieswojo.

Jego płaszcz przeciwdeszczowy był rozpięty, a rewolwer .44 wisiał w kaburze pod pachą. Sięgnął do przodu, by z kabury przy siodle wyciągnąć karabin i położyć go sobie na kolanach. Im bardziej przyglądał się wzniesieniu, tym bardziej ryzykowna wydawała mu się dalsza jazda. Lecz przepełniająca go energia coraz mocniej go napędzała i pomyślał: „Do diabła z czekaniem”. Skręcił głębiej w las, by podjechać do wzniesienia bardziej osłoniętą drogą.

Kiedy dotarł do wzgórza i zaczął się na nie wspinać, las nadal mu towarzyszył, ale w odległości pięćdziesięciu stóp od szczytu znalazł się w odsłoniętym miejscu, porośniętym jedynie przez niski młodnik. Skręcił, aby zyskać lepszą osłonę i w tym momencie poczucie czającego się w pobliżu niebezpieczeństwa stało się tak realne, jak zapach martwej padliny. Pochylił się w siodle i kopnięciem poderwał konia do biegu. Echo wystrzału dotarło do niego, zanim jeszcze zdążył oderwać pięty od końskich boków, pocisk z pewnością przemknął tuż za nim, a kula uderzyła w stojące nieopodal drzewo. Jego koń otrzymał wystarczająco silne ponaglenie i pokonał resztę wzniesienia w kilkunastu długich, przemykających tuż nad ziemią susach, kryjąc się za lepszą osłoną niewielkich lecz nieco starszych drzew.

Zeskoczył z siodła, uderzył kolanami o ziemię i przycisnął się do niej na chwilę, przypominając sobie, skąd zabrzmiał strzał i z której strony zdawał się nadlatywać pocisk. Podniósł się i zaczął się przekradać między sosnami, aż bezpośrednio przed nim jego oczom ukazał się nierówny i częściowo wolny od drzew obszar. Po drugiej stronie tej otwartej przestrzeni, gdzieś w podobnym gąszczu młodych sosen, plecami do zejścia na szlak, leżał człowiek czekający na oddanie drugiego strzału. W międzyczasie deszcz zgęstniał, a światło stało się zbyt słabe, by cokolwiek można było dobrze zobaczyć. Rawson zakończył krótki przegląd terenu i wrócił do konia. Wycofał się bardziej w las, na tyle daleko by zapewnić sobie dobrą ochronę, przejechał okrężną drogą na drugą stronę grzbietu wzgórza i zjechał na szlak, kryjąc się w niewielkim kamienistym żlebie.

Znalazł się teraz za plecami swojego prześladowcy i popędził z powrotem szlakiem, aż zobaczył znajome strome zbocze, młode drzewa zgrupowane na jego szczycie i sylwetkę plamistego konia zjeżdżającego zygzakami po mocno opadającym terenie. W zamglonym świetle widać było, że to niewielki srokacz, należący do Tilsona, a jego właściciel siedzi skurczony i schylony w siodle. W ten podskakujący cel Rawson posłał swoją kulę. Chybił, czego się spodziewał, gdyż jego własny koń również trząsł nim podczas biegu. Zanim zdołał przygotować się do drugiej próby, Tilson odskoczył na bok w las i pomknął dalej.

Rawson podjechał wyżej, skręcił i podążył za mężczyzną. Widział, jak kołyszące się plecy Tilsona znikają za osłoną sosen, i posłał za nim pogardliwy okrzyk. Był pobudzony, nie myślał o swoim bezpieczeństwie, łaknął krwi. Jakaś gałąź smagnęła go przez twarz, zerwała mu z głowy kapelusz i tak mocno wybiła go z siodła, że na wpół oszołomiony ściągnął wodze; wstrzymany koń potknął się, niemalże upadł i wyrzucił Rawsona w powietrze.

Wylądował na jednym ramieniu, ze stopami wysoko w powietrzu, trzymając wciąż w ręku karabin; pęd przetoczył go dalej i lufa karabinu uderzyła go w głowę, a kiedy się zatrzymał, znajdował się na czworaka, patrząc wprost na spróchniałą korę jakiegoś martwego, przewróconego przez wiatr drzewa. Był oszołomiony; czuł smak krwi i zobaczył, że skapuje mu ona na dłoń. Ciągle dygotał, nie z powodu upadku, lecz gniewu, a kiedy usłyszał przytłumione echo tętentu powracającego konia Tilsona, pomyślał: „Sądzi, że będzie mógł dobić rannego”, i wstał z miejsca schronienia za kłodą. „Jeśli lufa zapchana jest ziemią”, pomyślał, „to jestem w cholernych tarapatach.”

Tilson i jego srokacz poruszali się, pojawiając się i znikając mu z oczu, chowając się za drzewem, wypadając w puste miejsce, kryjąc się za kolejnym pniem. Bandyta miał uniesioną broń, czekając na czysty strzał. Rawson nie miał nawet czasu, by spojrzeć na lufę własnej broni, ani dość ostrożności, by się tym przejmować. Zrobił krok na bok, wycelowując swoją broń, zobaczył, jak broń Tilsona przesuwa się w jego stronę i odsunął się dalej w bok. Wystrzelił dokładnie w chwili gdy usłyszał huk broni swojego przeciwnika i oba dźwięki zlały się w jedną, przedłużoną eksplozję. Później, wściekle rozczarowany, Rawson zobaczył, że Tilson zawraca i ucieka.

Było już późno, gdy Rawson dotarł z powrotem do Portuguese Camp, pojedyncze światło z chatki pani Jeffroy poprowadziło go na miejsce. Zszedł z konia i zapukał w drzwi knykciami palców.

— Tu Rawson — powiedział i zaprowadził konia do szopy z tyłu, przywiązał go i zdjął mu siodło.

Kiedy wrócił, Evelyn stała w drzwiach.

— Wiedziałam, że masz gdzieś kłopoty — zawołała i wciągnęła go do chaty.

Była ubrana. Starsza kobieta, na wpół gotowa do spania, narzuciła na siebie kwiecistą jak tysiąc zachodów słońca chustę, na tle której jej gładka brązowa twarz i zaczesane do tyłu rzadkie siwe włosy tworzyły znaczący kontrast. Jej żywe spojrzenie omiotło go, po czym skierowało się na Evelyn. Oznajmiła:

— Zjedliśmy też pyszną kolację. No cóż, trochę z niej zostało i jest ciepła. Jeffroy śpi w drugiej chacie.

Zacmokała językiem na widok jego mokrego ciała i kałuż wody zbierających się wokół przemoczonych butów.

— Będziesz potrzebował solidnego suszenia. W chacie, w której śpi Jeffroy, nie ma pieca. — Jej oczy popatrzyły niewinnie na Evelyn. — W takim razie ja będę spać z Jeffroyem. Evelyn, ty idź spać do łóżka, a on może zostać w kuchni. To i tak wystarczająco duża skromność, jak na miejsce tak daleko na wzgórzach. Kołdra z gęsiego puchu posłuży za materac.

Otworzyła drzwi i, jakby sobie właśnie to przypomniała, dodała:

— Pod łóżkiem jest butelka słabej whisky — i zwężająca się szczelina w drzwiach zasłoniła jej roześmiane oczy.

Evelyn stwierdziła:

— Dzisiaj nie będziemy zmywać naczyń. Jesteś już suchy?

Miał na sobie jedną z koszul Jeffroya, jego własna suszyła się za piecem; stał boso, plecami do ognia, a posiłek i whisky dawały mu uczucie cudownego luzu. Odsunął buty dalej od ognia.

— Do rana będą twarde jak z żelaza.

— Co ci się stało?

— Tilson nas śledził. Zobaczyłem jego tropy i zacząłem go ścigać, ale nie udało mi się go złapać.

Spytała:

— Podejrzewałeś go?

— Miałem go na oku. Nic pewnego, ale był jednym z ludzi, których umieściłem po złej stronie kreski, kiedy rozmyślałem o tym w Portland.

— Ilu masz tak na oku?

— Niewielu. Podejrzewanie ludzi jest trudne.

Poszła do frontowego pokoju, wzięła górną kołdrę z łóżka i wróciła, by rozłożyć ją na podłodze w kuchni.

— Jesteś wystarczająco zmęczony, by czuć zniechęcenie. Rano będzie lepiej. Wiesz, nigdy wcześniej nie widziałam cię zniechęconego.

— Do tej pory — powiedział, — nigdy mi na tyle nie zależało, bym czuł się zniechęcony.

— A kim jesteś teraz, kim nie byłeś wcześniej? Chciałabym się dowiedzieć. Co ci się stało? To musiało być w Portland.

— Za dużo rozmyślałem. — Pokręcił głową. — Gadam jak jakiś cholerny głupiec. Chciałbym się jeszcze napić. Napij się ze mną.

Wzięła butelkę, napełniła do połowy jego kubek i sama także wypiła łyk. Zrobił palcem w powietrzu kółko, zachęcając ją.

— Trochę więcej zarówno dla mnie jak i dla ciebie. Ten towar zabija w człowieku zarówno dobro, jak i zło. To zło chciałbym teraz wyrzucić z siebie.

— A jakie konkretnie zło? — Jej oczy były bardziej niebieskie niż indygo, a widoczny w nich blask mógł być wszystkim, w co chciał wierzyć, wszystkim w całym tym biegu rzeczy, od początku do końca. Była jednak kobietą von Sterna, nie była kobietą niczyją. To co teraz widział w jej oczach, to mogła być niewinność, albo diaboliczność; nie wiedział tego w tej chwili i nigdy przedtem też nie był w stanie się zorientować. A choć chciałby to wiedzieć, nie zanosiło się również i na to, by kiedykolwiek dowiedział się w przyszłości. Wypił whisky do dna i ponownie skinął na nią.

— Nie popijaj whisky łyczkami. Pozwól jej spłynąć w całości, na raz. Do tego służy.

Dopiła z zaciśniętymi ustami, zamkniętymi oczami i drżącym ciałem. Odstawiła kubek na stół i otworzyła oczy.

— Za każdym razem, gdy myślę o tobie — powiedział — myślę o tym samym. Jesteś jak ta szklana misa w hotelu Klickitat. Światło rozbija się na niej i wraca jaśniejsze niż przedtem. Światło wpada w jednym kolorze i wraca we wszystkich jakie są.

— Ach — odparła, — wyczytujesz we mnie te rzeczy, które chcesz wyczytać, robiąc tajemnicę z niczego. Mężczyźni robią to częściej niż kobiety. Dlatego rozczarowują się szybciej niż kobiety. Mąż oczekuje zbyt wiele. Potem odkrywa, że tego nie dostaje i przestaje oczekiwać czegokolwiek.

— Twoje oczy są spokojne, lecz usta nie. Jesteś trochę tym, a trochę tamtym - jesteś tym, czym chcesz być.

— Mam dwadzieścia trzy lata i nie mam w sobie niczego, czego nie mógłbyś. zrozumieć. Powinnam mieć przed sobą ładnych pięćdziesiąt lat życia. Jeśli mi się poszczęści, to może tak właśnie będzie. To takie niepewne. Nie śmiałabym mieć takiej nadziei jak ty. Mniej oczekuję, ale będę z tym o wiele bardziej szczęśliwa niż ty. — Jej spokój został zakłócony przez narastające niezadowolenie. — Mówisz często o kobiecych oczach i ustach. Coś ci powiem. Kiedy interesujesz się kobietą, lepiej zaufaj temu, co widzisz w jej oczach, bo inaczej jej usta będą ci smakować bardzo gorzko. — Zmieniła temat. — Kto jest po złej stronie twojej kreski, Hugh?

Pomyślał: „Jak ja mam jej to powiedzieć - a powinienem to zrobić.” Ale odpowiedział wymijająco:

— Połowa ludzi w obozie. Trudno jest ich rozdzielić.

— Okłamujesz mnie.

— Tak — potwierdził. — Kłamię.

— Chciałabym, żebyś mi zaufał.

— Zupełnie nie o to chodzi.

Wtedy już była pewna, że na liście jest George von Stern i robiło jej się tak żal Hugh, że się rozpłakała; chciała wyciągnąć rękę i go dotknąć, tak dotkliwe było uczucie litości:

— Wiem, że na tej liście znalazło się kilku twoich przyjaciół. Dlatego nie chcesz o tym mówić. Przyjaźń to sposób na mamienie się, Hugh. Jeśli któryś z nich w tym siedzi, to nigdy nie był twoim przyjacielem.

— Wiem.

— Nie pozwól, by współczucie, lojalność czy cokolwiek podobnego sprawiło, że staniesz się miękki.

Potarł dłonie powolnym, okrężnym ruchem.

Głowa mu opadła, a włosy, wciąż wilgotne, połyskiwały w świetle lampy. Koszula Jeffroya była na niego o wiele za mała; krępowała jego ruchy. Powiedział:

— Nigdy jeszcze nie zabiłem człowieka. Podczas jazdy człowiek myśli, co by zrobił, gdyby do tego doszło. Ale myślenie i działanie to dwie różne rzeczy. Mimo to wiem, co zrobię.

— Zrób to dobrze.

Popatrzył na nią, raczej zaciekawiony niż zaskoczony.

— Kiedy zakłady idą w dół — stwierdził — uważam, że kobieta jest twardsza od mężczyzny.

Wstała chwiejąc się; oparła się o stół, a zaskoczenie przyspieszyło śmiech na jej twarzy.

— Ty i twoja whisky. Pomóż mi. Tylko, czy możesz?

Podniósł się z drewnianej skrzyni, na której siedział, by złapać ją za ramię. Podeszła niepewnie do łóżka we frontowym pokoju, usiadła i popatrzyła na niego.

— Och, Hugh — westchnęła i powoli przewróciła się na bok, zwijając się w kłębek. — To było całkiem miłe przyjęcie. Dla kogo ono było?

— Nie możesz tak spać.

— Ja już się tym zajmę.

Złożyła dłonie i wsunęła je pod policzek; odwróciła głowę, by przyjrzeć mu się z ukosa. Jej usta pełne były słodyczy, ale oczy zmieniły się w ciemne alejki prowadzące głęboko do wnętrza jej umysłu, a on nie widział tam nic poza cieniem. Była kompletną sprzecznością.

— Dobrze się czujesz?

— Mam nadzieję. Jestem, prawda? Nie rób mi tego więcej. — Jej twarz zrobiła się ostrożna. — Dlaczego to zrobiłeś? Knujesz coś?

— Nie.

— Mężczyźni zwykle knują.

— Kobiety też.

— To co innego. W tym jest jakiś cel. — Cofnęła dłoń spod policzka i wskazała na kuchnię. — Już idź. Zdmuchnij światło. Nie oparz się o piec.

Przysiadł na piętach tak, że jego twarz znalazła się na poziomie jej twarzy. Wyraz jej oczu stał się jeszcze wyraźniejszy. Pokręciła głową.

— Nie wierzysz we mnie.

— Kiedy kula zabija człowieka, może zabić wiele innych rzeczy, których wcale nie chciała dotknąć.

Pomyślała sobie: „To jest na tyle blisko, na ile on zdecyduje się podejść. To za mało, bo jeśli powiem mu, co sądzę o George'u, pomyśli, sobie, że nie potrafię dochować wiary nikomu.” Zamknęła oczy i nie widziała wyjścia z pułapki.

Spytał ją:

— Słyszysz mnie?

— Słyszę. Po prostu zrób to, co musisz.

Oparł obie dłonie na brzegu łóżka, aby się uspokoić. Patrzył na nią długo, zdradzając swoje zamiary. Kiedy nachylił się do przodu, zasłoniła usta dłonią. Pokręciła przecząco głową, a jej oczy rozszerzyły się tak szeroko, jak tylko mogły.

— Proszę — powiedział.

Wzruszyła ramionami; ręka opadła na bok.

— Nie powinieneś mówić do mnie takim miłym głosem. To działanie pozbawione skrupułów.

Jego usta zbliżyły się do jej, by uciszyć resztę jej słów. Trzymał ręce na krawędzi łóżka, powstrzymał falę uczuć i był delikatny. Jej głowa poruszyła się, muskając ustami jego usta; odsunął się, zanim jego pragnienia staną się bardziej wymagające, co jak wiedział szybko by się stało.

— A więc tak wygląda prawda w tej sprawie — powiedział.

— Niech cię diabli — stwierdziła tak łagodnie, i tak daleko od niego — teraz będziesz przeciwko mnie już na zawsze.

Podniósł się, niepewny, odchodząc z niechęcią. Powiedział:

— Nie nadążam za tobą.

— Odejdź już. Zgaś światło.

Wyszedł do drugiego pokoju i machnął ręką nad kominem lampy. Czerwone, złożone oczy pieca obserwowały go bystro; chata trzęsła się pod wpływem silnego wiatru, a porywiste fale deszczu uderzały o zewnętrzną ścianę. Usiadł na kołdrze, nie słysząc nic od niej.

— Evelyn, ubierz się i przykryj się kocem.

— Tak. Nie będzie ci tam za gorąco?

— Nie.

Usłyszał jej cichy, szepczący śmiech. Potem wzięła długi oddech.

— To było naprawdę miłe.

Odparł:

— Pani Jeffroy będzie rozczarowana.

Rytm burzy ukołysał go do snu.

Następnego dnia, Rawson właśnie zostawił Evelyn w jej chatce, gdy w zasięgu wzroku pojawił się kroczący przed siebie Carrico. Rawson wprowadził konie do stajni i zaczekał na żołnierza. Chwycił Carrico za ramię.

— Chciałbym z tobą porozmawiać.

Carrico poszedł z Rawsonem do jego chaty i usiadł w milczeniu, nie wykazując ani śladu swej zwykłej pewności siebie, podczas gdy Rawson

rozpalił ogień. Błękitnym oczom Ada także brakowało zwykłego blasku, a choć jego twarz była zbyt otwarta i chłopięca, by uformować cokolwiek w rodzaju ponurego wyrazu, wyzierający na zewnątrz cień jego ducha, zabarwił ją mrokiem niezadowolenia.

Rawson stał przy piecu, spoglądając za siebie.

— Za dużo jeżdżenia, Ad?

Carrico wzruszył ramionami.

— Chodzi o bezcelowość tego wszystkiego - przeganianie Indian z miejsca na miejsce dla zaspokojenia przeklętej chciwości kilku poszukiwaczy. I kto w końcu dostanie to złoto? Von Stern i właściciele sklepów. Tak więc nie jestem nikim lepszym niż domokrążcą von Sterna w ślicznym mundurku z mosiężnymi guzikami.

— To walka jednej rasy przeciwko drugiej, Ad. Zdarzało się to już wcześniej - jedni napierali, a drudzy ginęli. Może pewnego dnia jakaś inna rasa zepchnie w przepaść nas - i wtedy będzie to sprawiedliwość, która cię zadowoli, gdy będziesz to oglądał ze swego miejsca, gdzieś ponad drzewami jabłoni, w niebie. — Uśmiechnął się na kolejną myśl. — Siedząc sobie koło jakiejś pięknej kobiety.

— Tak wygląda moja reputacja? — spytał Carrico z żalem. — Czy jestem aż tak cholernie przejrzysty?

— Piękna kobieta to muzyka, do której zawsze będziesz tańczył.

— Nie chodzi o czyjeś piękno — zaprotestował Carrico. — Nie, o każdą tanią lalkę czy uniesiony rąbek spódnicy. Nie jestem przecież aż takim skończonym głupcem.

Usiadł na krześle, opuścił ramiona, ręce oparł na kolanach, a na jego czole - rzadko łamanym przez takie linie - pojawiły się zmarszczki.

„Carrico", pomyślał Rawson, „był ciągle chłopcem, podczas gdy już dawno temu powinien stać się mężczyzną."

— Ad, w następny kurs zabiorę ze sobą złoty pył. To będzie we wtorek rano.

Carrico potrzebował chwili, by poukładać swe myśli.

— Cały zapas pyłu? Piekielnie duży ładunek.

— Pojadą ze mną Lennon, Rheinmiller i może jeszcze jeden człowiek. To powinno wystarczyć, ale jeśli dobrze zastawią pułapkę, to może jednak okazać się za mało. Potrzebuję twojej pomocy. Czy możesz mi jej udzielić?

— Czego byś potrzebował?

— Wyruszę stąd o zwykłej porze, o szóstej rano. Spodziewam się kłopotów na bagnach. Czy mógłbyś przed świtem wyjechać ze swojego obozu na patrol, z pół tuzinem ludzi, i zaczekać w lesie koło Pennoyera, aż przybędziemy? A potem pojechać za nami przez bagna?

— Bądź ostrożny. Zawsze zakładaj, że wróg próbuje cię przechytrzyć. Waszą uwagę zwrócono na bagna, co może być elementem zamierzonego planu. Następnym razem możesz otrzymać cios w innym miejscu.

— Bagna to idealna kryjówka.

— Ja nie chciałbym z nich korzystać. Można je otoczyć - i byłbym na nich odcięty, dopóki nie musiałbym wyjść lub umrzeć z głodu.

— Nawet cały pułk nie zdołałby ich otoczyć — odparł Rawson. — A nawet dziesięć pułków nie byłoby w stanie spenetrować tego miejsca. Jeśli

chcieliby zatrzymać nas za dnia, to jedyne logiczne miejsce. Jeśli w nocy, mogą poczekać, aż będziemy za Lasswellem w górach. Jedź za nami przez bagna ze swoim oddziałem — powiedział Rawson. — Potem zniknij, ale spotkaj się z nami ponownie po zmroku, gdy opuścimy dom Lasswella, i dotrzymaj nam towarzystwa w górach aż do pustyni. Reszta drogi jest już bezpieczna.

— Czy jest jeszcze jakieś inne możliwe miejsce ataku?

— Na pewno nie w Deer Valley za dnia. Nie ma tam żadnej osłony. Tak samo nie na pustyni. Tam też nie ma osłony. Nie, to musi być bagno za dnia lub góry po zmroku. Ważne jest zgranie czasowe. Będziesz u Pennoyera, gdy tam dotrzemy, i w Head of the Mountain, gdy tylko zapadnie zmrok?

— Daję słowo — obiecał Carrico. — Jak tam twoja noga?

— Wciąż kulawa.

— Jesteśmy parą kalek — stwierdził Carrico ze smutkiem. — Twoja noga i mój duch. — Ruszył w stronę drzwi. — Może jestem taki przygnębiony, ponieważ otrzymałem rozkaz zmiany miejsca stacjonowania. Pierwszego dnia miesiąca mam zameldować się w Forcie Whipple w Arizonie.

Rawson pokręcił smutno głową.

— Z niechęcią patrzę, że wyjeżdżasz.

— Upijemy się z tej okazji — obiecał Carrico. — Nikomu jeszcze o tym nie mówiłem, więc zachowaj to w tajemnicy. — Odetchnął głęboko. — Trudno będzie to przeżyć - przynajmniej jeszcze jednej osobie.

Carrico wyszedł na ulicę, przeszedł niby przypadkowo obok Easterline'a, nawet nie spoglądając w stronę sklepu; wszedł na chwilę do stajni, wyszedł z niej, przeszedł do Evelyn i zapukał do drzwi. Jej głos zaprosił go do środka. Gdy otworzył drzwi i miał już przez nie przejść, zobaczył Beth Easterline, która właśnie wyszła ze sklepu w chroniącym przed złą pogodą płaszczu. Dostrzegła jego obecność; skinął jej głową, zamknął za sobą drzwi i zdjął wojskową czapkę przed Evelyn.

Była w trakcie pracy przed manekinem; teraz przerwała ją i przyjrzała mu się z uśmiechem, lecz krytycznie. Pokręciła głową.

— Oj, Ad… Ad.

Zarumienił się, wyprostował i ułożył ramiona tak, jakby stał w postawie na spocznij na placu defilad, z rękami i czapką za plecami.

— Wolałbym — stwierdził — żebyś nie myślała o mnie aż tak źle.

— Wcale nie myślę o tobie źle… Zupełnie tak nie myślę.

— Przyznaj chociaż, że wiem coś o kobiecych myślach. — Uspokoił się nieco, a jego niebieskie oczy otwarcie doceniły jej urodę. — I oto ja, być może pod pewnymi względami łajdak, znam cię o wiele lepiej niż Rawson, który zupełnie nie ma w sobie nic z łajdaka. Myślę, że łajdacy zawsze lepiej znają się na kobietach.

— Mężczyzna, który czyni z kobiet swoją profesję, powinien czegoś się o nich dowiedzieć.

— I taka jest twoja opinia o mnie. Wyskoczyła ci prosto z ust. Być może masz rację. To co chciałem powiedzieć, to że całkowicie ci ufam, nigdy bym nie kwestionował niczego, co ciebie dotyczy. Chciałabym, żeby

Hugh zrozumiał tak dobrze jak ja, jaka jesteś uczciwa. Ale on myśli o George'u…

— Po co w ogóle o tym rozmawiać, Ad? — Potem jednak zmieniła zdanie. — Nie, może jednak o tym pomówmy. Może mógłbyś mi jakoś pomóc.

— No cóż, pragniesz go.

Odparła niespokojnie:

— Mógłbyś nie określać tego tak otwarcie, tak drapieżnie.

— Evelyn — zauważył z największą uprzejmością — załóżmy, że dojdzie do walki i okaże się, że Hugh zabił George'a - człowieka, którego kiedyś bardzo lubiłaś i być może nadal lubisz jako przyjaciela. Jak wtedy będzie z tobą i Hugh?

— Jestem zaskoczona, że nie znasz odpowiedzi. Myślę, że sama mogłabym zabić George'a, gdyby wycelował w Hugh. Kobiety nie dzielą w taki sposób swoich lojalności.

— Więc wiesz, że George może być w to zamieszany?

— Przeczuwałam to. Czy Hugh jest tego pewien?

— Uważam, że tak. W tym obozie nie ma zbyt wielu osób, które można by podejrzewać. Evelyn, czy w twoim sercu nie ma już śladu po George'u? Nic? — Gdy pokręciła przecząco głową, wzruszył ramionami. — Szkoda, że Hugh tego nie wie. Bardzo was lubię.

— Czy przychodzi ci do głowy coś, co mogłabym w tej sprawie zrobić?

— Nie — odparł. — To jest coś, co ludzie zawsze robią sobie nawzajem - tworzą niejednoznaczne sytuacje, których potem nie potrafią sobie wyjaśnić. — Odwrócił się do drzwi i położył dłoń na zasuwie, spoglądając na nią do tyłu z na wpół uśmiechem ale również i żalem. — Chciałem się tylko zorientować, czy wiedziałaś o tym, że George jest w to zamieszany. A więc, tak to wygląda. Będziemy mieli kłopoty, i to raczej szybko. Obawiam się tego.

Poszedł prosto do stajni, wsiadł na konia i pojechał przez skąpany w deszczu mrok drogą do cmentarza. Nie próbował żadnych wybiegów, tylko ruszył prosto do chaty i wszedł do środka. Pani Easterline stała w zimnym i pustym domku z żywym wyrazem niechęci na twarzy.

— Byłeś tam dosyć długo.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, ledwo przed nią stanął; rzuciła mu się szybko w ramiona, a jej dłonie z niecierpliwością przyciągnęły jego ręce do siebie. W końcu przerwał pocałunek, zdjął płaszcz i rozłożył go na brudnej podłodze chatki. Siadając na nim, objęła go ramionami i pociągnęła za sobą; wydała z siebie wielki, pełen ulgi oddech.

— Nie musisz urządzać takich podchodów, z tym chodzeniem do Evelyn Harvey.

— Powinniśmy zachowywać pewną ostrożność. Im lepiej ty i ja sobie z tym poradzimy, tym bardziej możemy ignorować wszystkich innych.

— Czy to byłoby takie złe?

— Nie jakieś złe, ale obóz nie jest ślepy.

— Och — oznajmiła beztrosko — co mi tam obóz.

Wsunął dłoń pod jej głowę, poczuł ciepły oddech kobiety na policzkach. Rysy jej były niewyraźne w mroku, a dłoń spoczywała na jego plecach. Powiedział:

— Szkoda, że nie mogę widzieć dobrze twojej twarzy.

— Jest tutaj - jest twoja - możesz odgadnąć, co na niej jest. Pewnego dnia będzie to twarz starej kobiety, pomarszczona i sucha, bezużyteczna dla wszystkich. Cieszę się, że widzisz mnie taką, jaka jestem teraz. Szkoda, że nie możesz pozostawić na moich ustach jakiegoś siniaka, blizny. Naprawdę bym tego chciała. Wtedy coś by mi pozostało. Wspomnienie Ada.

Przyłożył wargi do jej ust i leżeli w milczeniu; jednak chłód domku przeniknął go, i gorąco jego serca zmniejszyło się, zaś umysł stanął z boku tego co się działo i postrzegał to zbyt krytycznie. Dopiero dotyk jej dłoni zmienił tę sytuację. Przypomniał sobie inne dłonie, które go dotykały, inne oczy, których gwałtowny ogień wypalił cienistą tajemnicę, jaką czcił, inne usta, które nagle zmieniały się z czułości w żar. Dotarł do drugiego końca i w tej samej chwili, gdy to zrozumiał, jego ciało coś utraciło. Ona również to pojęła, bo cofnęła głowę.

— Nie jest ci wygodnie?

— Jest absolutnie w porządku.

Narastająca troska wyostrzyła jej głos, aż jego ton stał się dla niego niemal nieprzyjemny.

— Co się stało?

Odparł:

— Jest mi smutno, Beth. Dostałem rozkaz przeniesienia.

O szóstej, w wieczornym mroku słabego dnia, Rawson poszedł do saloonu, wziął butelkę i szklaneczkę i usiadł przy stoliku. Wkrótce dołączył do niego von Stern; było tak, jakby nic się między nimi nie wydarzyło, a von Stern dobrze odgrywał swoją rolę uprzejmego przyjaciela. Zapytał:

— Chcesz coś zjeść? — i machnął palcem w stronę baru.

Wysunął swoją szklaneczkę whisky w stronę Rawsona; ponad brzegiem szklanki jego oczy świeciły bezpośredniością i chłodem. Barman przyniósł dwa talerze i wrócił z kubkami i dzbankiem kawy.

— Coś nowego?

— Nie — odparł Rawson. — Niewiele.

— Jeździsz po okolicy?

— Odbyłem kolejny kurs z parą pełnych toreb przy siodle.

— Nie sądzę, by to było mądre.

— To był już ostatni — powiedział Rawson.

— To dobrze — stwierdził von Stern i zabrał się za posiłek.

Wieczorny tłum zbierał się w saloonie, a powietrze w środku robiło się ciepłe i przesycone zapachem potu, tytoniu oraz mokrej wełny.

— Mój Boże — powiedział von Stern — ten zapach czuję już we snach. Dobrze będzie, jeśli się od tego uwolnię.

Rawson odstawił talerz, wypił kawę i przez chwilę siedział nic nie robiąc, zastanawiając się nad mądrością ostrzegania von Sterna. Postanowił to zrobić, ale teraz zaczęły go nachodzić myśli, przytłaczające fale niepewności, zdumienia własnymi osądami, i nagle poczuł do nich odrazę. Jego pierwotny pomysł zrodził się pod wpływem impulsu. „Kontynuujmy więc go”.

— George, chodźmy na zaplecze.

Von Stern był zbyt opanowanym człowiekiem, by okazać jakąkolwiek zdecydowaną reakcję.

— Oczywiście — odparł, po czym wstał i ruszył przed siebie. — Chcesz coś żytniego do popitki po tej fasoli?

— Nie. — Rawson nabił fajkę i zapalił ją. Przeszedł dookoła pokoju z rękami wciśniętymi w kieszenie i stanął twarzą w twarz z von Sternem. — W poniedziałek wieczorem przeniosę cały złoty pył z twojego sejfu i sejfu Easterline'a do mojego. Pojdzie we wtorek rano.

— To duży ładunek jak na jedną podróż.

— Będę miał w dyliżansie czterech ludzi ze strzelbami.

— Nadal możesz zostać złapany na wykroku. Za jakimś zakrętem może czekać na ciebie kilku ludzi. Może być ich dziesięciu. Może być ich nawet kilkunastu.

— Nie sądzę. Może ich być trzech. Może czterech. Najwyżej pięciu. Ale jestem pewien, że to tyle, jeśli chodzi o liczbę napastników.

— Czego jeszcze jesteś pewien? — spytał von Stern i zabrał się za przycinanie cygara.

— Nie dadzą rady, George.

— To bardzo stanowcze stwierdzenie — zauważył von Stern. — Nikt nie może być tego taki pewien.

— Wygłoszę jeszcze inne stwierdzenie. Oni tego nie przeżyją.

— Miałeś kiedyś odrobinę szczęścia. Nie opieraj się na tym. — Von Stern zapalił cygaro i podszedł do Rawsona, wpatrując się w niego uważnie.

— Wolałbym, żeby tego w ogóle nie próbowali. Niektórych z nich w końcu znam.

Von Stern usiadł na jedynym krześle w pokoju, twarzą do Rawsona. Wydmuchnął przed siebie wielki kłąb dymu, a potem kolejny, aż dym stworzył kłębiącą się zasłonę, przez którą patrzył. Jego twarz nie mogła się jeszcze bardziej zmienić; osiadła na tyle, na ile pozwalały jej ciało i kości. Zmiana, którą dostrzegał Rawson, polegała na pojawieniu się na niej czegoś w rodzaju drobnych cieni pochodzących z wnętrza: zawziętości, pogardy, upartego nastawienia człowieka, napędzanego jego własną pychą. Teraz, pomyślał Rawson, zrozumiał, co do niego mówię.

— Ty przeklęty głupcze — oznajmił von Stern, nie przebierając w słowach. — Lubię cię. Robiłem, co mogłem, żeby cię w to nie mieszać, ale ty musisz w to wleźć. Nigdy nie myślałem zbyt dobrze o twoim rozumie. Teraz też nie.

— W porządku, George. Popełniłem błąd przychodząc tutaj.

— Popełniłeś — zgodził się von Stern. — Frajerski ruch żółtodzioba. Po prostu nie powinieneś grać w pokera w ostrym towarzystwie. — Siedział

spokojnie, a jego spojrzenie wbijało się w Rawsona swoją czarną jak smoła obcością. — Co do Evelyn – jest twoja, jeśli to ci w czymś pomoże. Niech diabli wezmą mężczyznę, który wkracza w drogę innemu mężczyźnie i odmienia duszę kobiety.

— Czy ona ci to powiedziała?

— Wróciła z Portugese Camp, żeby dać mi to do zrozumienia. Co tam robiłeś?

— To wszystko, George.

— Też myślę, że to wszystko, co mamy sobie do powiedzenia — zgodził się von Stern.

— Powiedzieliśmy sobie nawet zbyt wiele, George — odparł Rawson. — Nie jest mi już wcale ciebie żal.

Odczekał chwilę, z zaciekawieniem przyglądając się czy odnajdzie na twarzy wielkiego mężczyzny choćby ślad tego ducha, który usprawiedliwiałby jego dawną sympatię. Niczego nie dostrzegł. Nie czuł żalu i nie znalazł go nigdzie również u George'a, i odszedł ze świadomością, że przyjaźń może umrzeć i nie pozostawić po sobie niczego, nawet najmniejszego wspomnienia.

Późną niedzielną nocą przed saloon von Sterna zajechał przyjeżdżający dyliżans. Prowadził go Lennon, a obok niego jechał Barney Rheinmiller. Z powozu wysiadł pasażer, który ostrożnie opuścił na ziemię swoje niskie i zbyt tłuste ciało; był to Mulvey, płaszcz pogrubiał go do jeszcze bardziej niesamowitych rozmiarów, ze złamaną strzelbą pod pachą, jakby był myśliwym. Poczta została zrzucona, lejce podane stajennemu.

Rawson dołączył do trójki kolegów.

— Po co przyjechałeś? — zapytał Mulveya.

— Żeby wrócić z wami, chłopcy.

— Nie sprawisz, że ładunek będzie lżejszy.

— Po prostu daj mi coś, w co będę mógł wycelować — powiedział Mulvey — a zapłacę za swój przejazd. Jestem wysuszony i głodny, a ci dwaj szaleni woźnice nie zostawili we mnie ani jednej całej kosteczki.

Weszli do von Sterna na drinka oraz po fasolę i wołowinę z lady obiadowej. Lennon zobaczył von Sterna po drugiej stronie sali i skinął mu głową; chłodny ukłon, który otrzymał w odpowiedzi, zainteresował go.

— George'owi kij wlazł w tyłek?

Rawson skinął głową i po zjedzeniu przeniósł się do swojej chatki wraz z całą trójką. Rozpalił ogień, podczas gdy pozostali usadowili się w głównym pomieszczeniu. Mulvey znalazł w płaszczu ćwiartkę whisky i postawił ją na stole.

— Nie piję trunków z obozów górniczych, jeśli mogę coś na to zaradzić. — Rzucił płaszcz w kąt; zauważył pojedynczą pryczę w kuchni. — A więc, jak się domyślam, śpię w płaszczu na podłodze.

— Jake — powiedział Rawson, — to może być trudne; takie sprawy są już za tobą. Nie powinno cię tu być.

— Do diabła z czystą arogancją młodych ludzi — zauważył łagodnie Mulvey. — Myślicie, że świat jest stworzony wyłącznie dla was, a każdy po czterdziestce piątce powinien się zastrzelić.

Rawson pokręcił głową.

— Tylko tak gadasz, nie powinieneś być w tej grupie.

Lennon wciąż był skupiony na von Sternie.

— Co jest nie tak z George'em?

— On jest jednym z tych ludzi — wyjaśnił Rawson. — I wie, że ja o tym wiem.

Lennon zapytał:

— Skąd on wie, że ty o tym wiesz?

— Rozmawiałem z nim zeszłej nocy.

Mulvey powiedział:

— Dałeś mu cynk? Na miłość boską, dlaczego?

— Żeby nakłonić go do wycofania się i odwołania starcia.

Lennon stwierdził:

— Wciąż masz w sobie trochę litości dla George'a.

— Teraz już nie. Dostał ostrzeżenie. Nie odwoła tego. Dojdzie do walki - można na to liczyć - i musimy na dobre rozbić tę bandę. Chcę, żeby to się skończyło. Nie chciałbym uchylać się przed kulami podczas każdego kursu przez resztę lata!

— Porozmawiajmy o tym, jak mamy to zrobić — powiedział Mulvey.

— Wyruszymy we wtorek rano i pojedziemy prosto. Carrico wraz z sześcioma żołnierzami spotka się z nami u Pennoyera i przejedzie z nami przez bagna. Potem zniknie, ale wróci za Lasswellem i pojedzie za nami w dół, na pustynię. Reszta drogi to otwarty teren.

— To dobrze — stwierdził Mulvey i wstał. — Napijmy się czegoś. — Przeszukał kuchnię w poszukiwaniu kubków i wrócił, by nalać wszystkim kolejkę, napełniając swój kubek w trzech czwartych. — To za styl jazdy, jaki musiałem znieść.

Rheinmiller zapytał:

— Ilu ludzi ma zamiar do nas strzelać?

— Miller, nieznajomy który był z Millerem, i Tilson. To wszyscy, których jestem pewien.

Lennon pokręcił głową.

— To byłoby jak wysłanie chłopca na mężczyznę. Będzie ich więcej niż trzech.

Mulvey zauważył ponadto:

— Von Stern wie, że Carrico jest twoim przyjacielem. Może przypuszczać, że Carrico ci pomoże, prawda?

— Tak.

— A więc musi mieć jakiegoś asa w rękawie. Dobrze byłoby wiedzieć, co to jest.

Po poniedziałkowym śniadaniu cała czwórka zabrała się za przenoszenie złota z chat Easterline'a i von Sterna do chaty Rawsona. Położyli woreczki z jeleniej skóry na stole, jeden oparty o drugi, do każdego z nich przywiązana była metka jego właściciela.

— To za dużo jak na jedną skrzynię ekspresu — stwierdził Rawson. — Nie dalibyśmy rady tego unieść nawet we czwórkę.

Poszedł do Easterline'a i przyniósł kilka drewnianych skrzyń, młotek, piłę i dwa funty małych gwoździ. Resztę poranka zajęło im przerobienie skrzyń, zapakowanie do nich woreczków i przybicie pokryw. Oprócz skrzyni ekspresowej, mieli pięć mniejszych skrzyń, z których każda ważyła ponad sto funtów. Mulvey usiadł na krześle i położył stopy na skrzyni. Lennon zauważył:

— Nie są to maniery, jakie okazuje się małej fortunie.

— Nigdy tego nie rozumiałem — stwierdził Mulvey — i teraz też nie rozumiem. Kto wpadł na pomysł, że złoto jest cokolwiek warte? To wszystko siedzi tylko w głowach ludzi.

— Bo trudno je zdobyć — odparł Lennon.

— Znam rzeczy, które są znacznie trudniejsze do zdobycia.

Wychodząc na zewnątrz, Rawson zobaczył Carrico zjeżdżającego zygzakowatą ścieżką po południowej ścianie wąwozu. Poczekał na Carrico, a gdy porucznik zostawił konia w stajni i ruszył na piechotę, Rawson chwycił go za ramię i poszedł z nim.

— Chcę tylko wiedzieć — powiedział do Carrico — czy będziesz u Pennoyera, gdy tam dotrzemy.

— Wyjadę stąd dziś po zmroku, wrócę, zabiorę ludzi i będę u Pennoyera przed waszym przyjazdem. Może od razu was odeskortuję stąd?

— Nic się nie wydarzy do Pennoyera. To zbyt blisko Ophiru i nie będzie niespodzianki. Chcę ich zaskoczyć i zakończyć sprawę.

— Jak myślisz, kto to jest, Hugh?

— George.

— To źle. Wiele rzeczy idzie na dno.

— Zastanawiam się, ile.

O szóstej, poranne światła obozu rozbłyskiwały w deszczu i półmroku, a kilkunastu ludzi stanęło na ulicy, by obserwować odjeżdżający dyliżans. Rozbawiło to Lennona, który jechał jako strażnik obok Rawsona.

— Przypomina mi to kobiety przechodzące obok trumny przed założeniem wieka. Grzech i śmierć przyciągają wszystkich; są nam bliższe niż cokolwiek innego. Ci ludzie mają nadzieję opowiadać, że widzieli nas rano, gdy ruszaliśmy w nasz ostatni kurs.

Obóz spowiła gęsta mżawka kiedy zdążyli dotrzeć zaledwie do podnóża wąwozu i wjechać do krótkiej doliny, w której kałuże wody deszczowej rzucały ciemne rozbłyski. Pierwsze wzgórza rysowały się przed nimi rozmazaną smugą.

— Atak może nadejść szybko — zauważył Lennon. — Może wydarzyć się nawet na pierwszym grzbiecie.

— Zbyt blisko obozu.

— Nie wiem, jak oni mieliby zabrać ze sobą tyle złota, gdyby je zdobyli.

Z wnętrza dyliżansu dobiegło przekleństwo Mulveya. To jego pomysłem było, aby przymocować skrzynie na siedzeniach do bocznych ścian dyliżansu, aby zapewnić dodatkową ochronę. A teraz dźgany ich ostrymi rogami, głośno wyrażał swoje niezadowolenie.

W połowie doliny pierwsze światło dnia zaczęło obrysowywać sylwetki znajdującego się przed nimi grzbietu wzgórz, a kiedy trzydzieści minut później do niego dotarli, droga wyglądała jak szary tunel prowadzący przez ociekające wodą czarne drzewa. Niewielki podmuch wiatru przetoczył się przez korony drzew, zrzucając na nich strugi zebranej z konarów wody. Lennon przetarł twarz i widząc jakiś niewyraźny cień, wycelował w niego karabin, aż zniknął gdzieś za nimi. Stopniowo sosny po trochu nabierały niezależnych od siebie kształtów. Dwie godziny drogi od Ophiru nastał dzień, ciężka mgła rozbijała się o wzgórza i przebijała się przez las. Dotarli do szczytu grzbietu i szybkimi, błotnistymi serpentynami, zjechali drogą do Deer Valley, docierając do Pennoyera przed dziesiątą. Pennoyer miał przygotowane nowe konie na zmianę.

Rawson zapytał:

— Gdzie jest Carrico?

— Nie ma go tutaj. A powinien być?

Rawson i Lennon zeszli na ziemię. Rheinmiller wysiadł z dyliżansu, kręcąc głową.

— Nie lubię jeździć jako pasażer. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy.

Mulveyowi dotarcie na ziemię zajęło nieco dłużej.

— Co mamy do jedzenia?

— Ciasto i kawę — odparł Pennoyer.

— Carrico jeszcze nie przyjechał — powiedział Rawson.

Mulvey wzruszył ramionami.

— Niech będzie ciasto i kawa.

Weszli do domu.

Evelyn stanęła w drzwiach swojej chatki, by obserwować odjeżdżający dyliżans i była przygnębiona tym, że Rawson choćby na chwilę nie zatrzymał się przy niej. Wróciła do pomieszczenia od tyłu, by przygotować sobie śniadanie i podczas jedzenia usłyszała na ulicy głosy ludzi. Przez okno zauważyła grupę mężczyzn, z koniem, opuszczającą stajnię i przekraczającą potok. Podeszła do drzwi i zauważyła kogoś spieszącego w stronę dolnej części obozu.

— Co się stało?

— Carrico jest tam, na wzgórzu, martwy. Dostał kulę.

Stała wstrząśnięta. Pomyślała: „O nie, tylko nie on.” W sklepie zapaliło się światło i pojawił się Easterline. Ktoś wyszedł ze stajni, by z nim porozmawiać. Skinął głową i opuścił ją, a wtedy Evelyn usłyszała głos Beth Easterline dobiegający z tyłu sklepu. Easterline odwrócił się powoli, odezwał do żony i znów stanął twarzą do ulicy; jego ramiona opadły, głowa przechyliła się, a on sam jakby zmalał. Nie słyszała już żadnych kolejnych słów z ust Beth Easterline.

Carrico, jak sobie przypomniała, mówił jej, że będzie pomagał Hugh w podróży; dlatego wyjechał tak późno w nocy - i dlatego został zastrzelony. Wyszła do pomieszczenia z tyłu, narzuciła płaszcz i zawiązała na głowie gruby szal. Działała automatycznie, bo dopiero na ulicy, spiesząc w kierunku stajni, zdała sobie sprawę ze swoich zamiarów. Hugh nic nie wiedział o tym co się stało, a powinien; dyliżans był już od pół godziny w drodze, lecz wciąż mogła go złapać u Pennoyera, jeśli skorzysta ze szlaku przez wierzchołki wzgórz.

Grupa wróciła już z grzbietu wzgórza z ciałem Ada. Kiedy dotarła do stajni, zobaczyła je leżące w ciemności. Zawołała do Bordena Pendextera.

— Proszę cię, osiodłaj mojego konia.

Ktoś w stajni zapytał:

— A gdzie jest koń von Sterna?

— On wyjechał zeszłej nocy — odpowiedział Pendexter.

— Jeszcze nie wrócił?

— Nie, do tej pory nie wrócił.

Ktoś wybiegł ze stajni w stronę saloonu, a chwilę później Powell Bailey opuścił kuźnię i udał się w tym samym kierunku, idąc szybciej, niż kiedykolwiek widziała.

Pendexter wyprowadził jej konia i podał jej rękę.

— Słuchaj — powiedział — uważaj, gdzie dziś jeździsz. Dokąd się wybierasz?

Odpowiedziała:

— Tylko kawałek.

Poczekała, aż Powell Bailey wyjdzie z saloonu.

Machnął ręką i pokręcił głową do idących w jego kierunku ludzi. Usłyszała, jak mówi.

— Nie, nie ma go.

Easterline obserwował ją ze swoich drzwi, z twarzą tak szarą, tak starą. Skręciła między stajnią a kuźnią, przejechała przez potok i ruszyła na wzgórze. Wiedziała, że byłoby rozsądniej, gdyby w tę podróż wybrał się jakiś mężczyzna, ale wszystko było przesiąknięte podejrzeniem i nie znała nikogo, komu mogłaby w pełni zaufać.

— Minęły już dwie godziny, dokładnie — stwierdził Rawson.

— Czy może byłoby dobrze aby ktoś z nas pojechał do Camp Wilson i zobaczył co się dzieje? — spytał Lennon.

— To byłyby kolejne dwie godziny w tę i z powrotem — odparł Rawson — Nie. Coś się stało. — Odwrócił się do Pennoyera: — Czy ktoś tu się w pobliżu kręcił lub tędy przejeżdżał, zeszłej nocy albo dzisiaj rano? Pennoyer pokręcił głową na boki. Mulvey spytał Rawsona: — Chcesz wracać i poczekać, aż to wyjaśnimy?

— Nie.

— Chcesz poczekać dłużej? — dopytywał się Mulvey.

— Nie.

Cała czwórka stała luźno koło siebie, wpatrując się w ciemną ścianę drzew na końcu łąki. Z gęstego, wilgotnego bagna unosiła się para, wzbijając się grubymi spiralami, które na szczycie spłaszczały się do czapek w formie grzybów.

— No dobrze — rzucił Rheinmiller. — Co u diabła robimy?

Mulvey zwrócił się do Rawsona:

— Ty jedziesz. Ty służysz za tarczę strzelniczą.

— Jedziemy dalej — oznajmił Rawson i podszedł do dyliżansu. Wspiął się na kozioł i złapał lejce od Pennoyera. Lennon usiadł obok niego i włożył między kolana karabin, a potem rozpiął płaszcz, aby mieć lepszy dostęp do .44-ki na biodrze. Rheinmiller wszedł do środka; dyliżans usiadł głęboko po jednej stronie, gdy zaczął mościć się w nim Mulvey.

— Grubas — stwierdził Mulvey, — z pewnością nosi jakiś krzyż.

Rawson popędził konie przez krótki odcinek łąki. Po kilku chwilach zamknęły się wokół nich pierwsze mgliste cienie bagiennego lasu, a droga od razu stała się gorsza, połamane kawałki drewnianego utwardzenia zapadały się głębiej w czarne, bulgoczące błoto, gdy napierał na nie ciężar dyliżansu. Rawson usłyszał, jak Mulvey mówi:

— Ty bierz prawą stronę, Barney, ja lewą.

Karabin Lennona leżał teraz na jego kolanach, lufą do przodu, jego obie dłonie spoczywały spokojnie na nim; obserwował pojawiające się przed nimi zakręty drogi, obracając ciało, by kontrolować widok wokół nich. Rawson odwrócił się do swojego karabinu, leżącego na dachu dyliżansu i przekręcił go, by mógł wygodniej go uchwycić. Zawołał spokojnie:

— Fanny… Maude!

Żaden z koni też nie lubił tego miejsca.

— Przed nami niewielki kawałek twardego gruntu - to ich pierwsza szansa — uprzedził Lennon.

Przesunął się bardziej na drugi brzeg siedzenia na wpół obracając się; lufa jego karabinu uniosła się. Po długim zakręcie wjechali na nieco twardszy teren; Lennon, uspokajając się, wstał, popatrzył przez plątaninę drzew, pokręcił głową i usiadł.

— Teraz — powiedział — środkowa łacha, skąd wychodzi ścieżka.

Rawson usłyszał w oddali jakiś dźwięk i powoli przekręcił głowę, by złapać go płasko na bębenku ucha. Dyliżans opadł o całą stopę na wyboistej drodze i rzucił obu mężczyzn do przodu.

— Maude, przeciągnij nas!

Jego spojrzenie powędrowało do serca bagna, które teraz na nich czekało, do na wpół stałej wyspy, która zajmowała może ćwierć mili powierzchni i z której wychodził szlak, wcześniej przez niego badany. Zawołał do Mulveya i Rheinmillera.

— Uważajcie tutaj! — po czym rozpoczął także własne poszukiwania wzrokiem. Czuł napięcie nerwów Lennona.

Dyliżans minął szlak, a Lennon odetchnął z ulgą:

— To już połowa tych przeklętych bagien - jeszcze ze dwie mile. — Nagle odwrócił się, spojrzał do tyłu i wypuścił potężny oddech ulgi. — Ale mi to dało kopa.

— Co?
— Właśnie zdałem sobie sprawę, że nie oglądałem się do tyłu przez pół minuty.
Gdy zbliżali się do krawędzi Deer Valley, drzewa rosły gęsto i zdrowo, tworząc doskonałe schronienie dla ukrywających się ludzi. Jedno z kół dyliżansu wjechało w głęboką dziurę, gwałtownie rzucając Lennona na Rawsona; wyprostował się, gdy do góry podskoczyła druga strona dyliżansu. Stara kłoda utwardzająca drogę pękła, a do tyłu poleciały potężne kule błota, ochlapując obu mężczyzn i plamiąc im twarze. Przed nimi pojawił się otwarty teren, widoczny w oddali jak przez tunel, a dziesięć minut później dyliżans opuścił bagna. Z przodu stał dom Faya Millera, w deszczowej szarzyźnie o drugiej po południu, nie było w nim widać żadnych świateł, wokół domu nie było koni, żadnego ruchu. Lennon na wszelki wypadek wycelował w to miejsce broń, gdy dyliżans przejeżdżał obok; potem znaleźli się w otwartej dolinie.
Lennon powiedział cicho:
— Mam chyba ze dwieście pięćdziesiąt lat — i zapalił cygaro.
Rawson zapiął płaszcz chroniący przed deszczem i wprawił zaprzęg w stały bieg. Wiatr ucichł, a deszcz padał gęstą mżawką z ciemnoszarych chmur, które teraz zatrzymały się w swym pędzie na wschód. Obserwował teren przed sobą i krawędź lasu na tle wzgórz.
— Carrico jest zbyt dobrym żołnierzem, by przegapić potyczkę. Takie rzeczy to jego zawód.
— Może będzie czekać w Head of the Mountain.
Rawson pokręcił przecząco głową.
— Nie było go w miejscu spotkania. Zły znak.
O piątej, gdy noc zaczęła zsuwać się w dół pierwszymi warstwami szarości, Rawson skierował dyliżans na podwórze Lasswella w Head of the Mountain i polecił koniom aby się zatrzymały. Rzucił lejce najstarszemu chłopcu Lasswella, zszedł na ziemię po kole i stał przez chwilę, podczas gdy pozostali trzej mężczyźni zebrali się wokół niego, głodni, wytrząśnięci drogą i zdenerwowani niebezpieczeństwem, na które czekali i które jeszcze nie się nie pojawiło.
— Przed kolacją wypijemy sobie piekielnie długiego drinka — oznajmił Mulvey.
Kiedy czwórka mężczyzn zjadła, ponownie wyszli na podwórze.
— Chcesz poczekać tutaj aż zrobi się jasno? — spytał Mulvey.
— Noc ma swoje zalety zarówno dla nas, jak i dla nich — powiedział Rheinmiller. — Dla nas nawet większe. Będziemy trudniejszym celem.
— Spodziewasz się, że Carrico będzie na nas czekał za drzewami?
Rawson pokręcił przecząco głową, a Lennon pozwolił sobie na rzadką chwilę otwartej dezaprobaty.
— Niech szlag trafi człowieka, który nie dotrzymuje słowa.
Rawson powiedział:
— Nie ma wątpliwości, że zostaniemy zaatakowani. I nie będziemy mieli pomocy. Moglibyśmy zatrzymać się tutaj i nie jechać dalej, dopóki nie znajdzie się Carrico. Lecz jeśli nas zawiódł, to musi być ku temu jakiś dobry powód. Możemy spróbować zwerbować pół tuzina ludzi na

wzgórzach, by stworzyć oddział. Zmarnowalibyśmy tylko czas - ludzie nie będą chcieli narażać się na kłopoty. Wiedzą, co się stało z Potterem. Nie widzę możliwości, aby dalsze czekanie mogło poprawić sytuację.

— W porządku, panie senatorze — stwierdził Lennon, — wygłosił pan swoje przemówienie. Kto prowadzi?

— To mój odcinek — powiedział Rheinmiller.

Rawson oznajmił:

— Ja pojadę z tobą jako strzelec.

— Czyli Bart i ja będziemy siedzieć w kurzu — dokończył Mulvey. — Nigdy jeszcze o niczym nie miałem tak kiepskiego zdania, jak o takiej podróży. — Popatrzył na otaczających go ludzi, pochylając głowę, by dobrze ich widzieć. — Czy ktoś wie, w którym miejscu zacznie się zabawa?

— Myślę, że nie później niż dziesięć mil stąd — odparł Rawson.

Dyliżans jęknął, gdy ładowali się do niego.

Chłopiec Lasswella rzucił lejce Rheinmillerowi, a ten, zawsze pełen nadziei na rekordowy zjazd z tej góry, poderwał konie z bezruchu.

— Jaaah, hup - hup - hup!

— Zwolnij przy skałach — powiedział Rawson. — To tam Carrico powinien się z nami spotkać.

— Ale nie będzie go tam.

— Nie. Już dużo wcześniej coś poszło źle.

Droga biegła na zachód, przez łąkę w kierunku ściany lasu, teraz poczerniałej przez zapadającą noc. Milę dalej potok Elizabeth, przecinający pod skosem dno doliny, skręcał koło drogi i wraz z nią wpadał w początek małego kanionu, stanowiącego bramę do Head of the Mountain; potok i droga wślizgiwały się w ten naturalny korytarz przepływu wody, biegnąc dalej między skalnymi ścianami, wysokimi na czterdzieści stóp. Ponad wierzchołkami tych urwisk, wznosiły się góry, ociekające czernią, rysujące się cieniem na tle cienia. Było to czteromilowe przejście do przerwy w górach.

Zagłębili się już milę w ten górski zaułek, gdy Rheinmiller zwolnił tempo jazdy zaprzęgu do stępa, kiedy przecinali niewielką kotlinę na wąskim poza tym szlaku. W pewnym momencie zatrzymał dyliżans. Mulvey zawołał ze środka:

— Co się stało?

— Carrico - jeśli tu w ogóle jest — odpowiedział Rawson. Potem dodał: — Nie ma go tutaj. Nie ma sensu czekać.

Rheinmiller chlasnął swoimi słowami jak batem i zaprzęg pociągnął dyliżans dalej. Z dolnej części kanionu, przebijając się przez stukot kół pojazdu i tętent kopyt, zaczął dobiegać jakiś dźwięk – szumiący odgłos wodospadu - zaś kanion stracił swój bezpośredni charakter i rozbiegał się w lewo i w prawo, podążając śladem wód, które dziesięć tysięcy lat temu wyżłobiły jego koryto.

Rheinmiller zawołał do Mulveya i Lennona:

— Ćwierć mili do brodu.

Rawson wdrapał się z siedzenia na górę dyliżansu; zaczepił jeden but o niską poręcz, która biegła wokół brzegu dachu pojazdu, a drugą stopę oparł o poręcz, po czym położył się płasko na brzuchu i przyłożył kolbę

karabinu do policzka. Stałe podskakiwanie dyliżansu obijało mu żebra i mocno szorowało kośćmi jego miednicy o drewno na którym leżał.

— Jeśli nas zatrzymają, Barney, objedź ich z boku. Jeśli spróbujesz się przedrzeć na wprost, to cię zastrzelą.

— Będą musieli mnie mocno przekonywać — odparł Rheinmiller.

Nie było gwiazd, nie było żadnego światła pod kopułą gęstej mgły, pod niskim dachem sosen i ciemnym cieniem skalistego urwiska; bryzgająca woda potoku nie dawała białych refleksów, konie przed nimi zmieniły się w bezkształtne cienie. Odjechali nieco od potoku i wykręcili prosto w bród, a Rheinmiller nieustannie popędzał konie. Za brodem droga wspinała się na wysokość dwudziestu stóp do szczytu południowej krawędzi skalnych ścian, przeskakiwała przez nie i wpadała do lasu. Rawson zaparł się aby nie spaść gdy przednie koła wpadną do potoku. Chwycił mocno karabin, a jego podbródek uderzył w kolbę broni.

Konie lejcowe, średnie i dyszlowe uderzyły w wodę z długim pluskiem; pierwszy gwałtowny podskok dyliżansu, szarpnięcie piasty zanurzonej głęboko w potoku, uniosło Rawsona i rzuciło go na ręce i kolana - a z krawędzi urwiska bezpośrednio nad nim doleciał głos.

— Zatrzymać się – natychmiast!

Barney Rheinmiller wydał z siebie okrzyk.

— Hup-hejaah!

Konie popędziły w kierunku wzniesienia na drugim brzegu potoku, a dyliżans, obecnie znajdujący się w poprzek potoku, zatrząsł się gwałtownie. Przez grzechot uprzęży i kół przebił się huk wystrzału, a ogień tryskający z lufy rozbłysnął i zgasł na tle jednolitej czerni skał.

Prowadzący zewnętrzny koń lejcowy, który ledwie co wydostał się na wyższy teren, upadł, całym ciężarem wlokąc się za pozostałymi, a dyliżans, gwałtownie zatrzymany w ten sposób, powoli poderwał się do góry. Pozostałe konie, w kompletnej panice, szarpały się do przodu i do tyłu, aż pojazd, przechylając się poza środek własnej ciężkości, wywrócił się do głębokiego na jard strumienia.

Rawson zawisł na poręczy wokół dachu, trzymając karabin pod pachą, a stopy dyndały mu w nurcie wody. Z szeroko otwartymi oczyma wypatrywał każdego pocisku, który mógłby przebić się przez cienką powłokę dyliżansu. Nagle puścił poręcz i wpadł do wody po biodra. Rheinmiller leżał na czworakach tuż przed nim, na wpół utopiony, z całej siły walcząc o wynurzenie się. Rawson złapał go za rękę i podciągnął do pionu.

Z urwiska rozległa się pełna salwa, a pomarańczowe fontanny ognia trysnęły ponownie z luf. Jeden pocisk świsnął po wodzie, druga kula zadźwięczała, przechodząc przez poszycie dyliżansu, a wewnątrz pojazdu Mulvey wypowiedział jakieś bardzo ciche słowo. Głos Lennona był znacznie lepiej słyszalny.

— Jake, trzymaj się mnie.

— Zabierajcie się stamtąd — polecił Rawson.

Rozpoczął się ostrzał, rozproszony, jednostajny. Rheinmiller przykucnął głęboko w wodzie.

— Mulvey — powiedział, — wynoś się stamtąd.

Pocisk uderzył z hukiem w żelazną obręcz koła, a szaleńczo rykoszetujący odłamek ołowiu połaskotał rondo kapelusza Rawsona. Rheinmiller, wciąż przykurczony, ruszył w stronę drugiego brzegu. Rawson odezwał się.

— Jake, potrzebujesz pomocy?

Lennon wydostał się z dyliżansu, ześlizgnął się po pochyłym dachu i spadł na Rawsona; stracił równowagę i zaczął się przewracać. Rawson złapał go i przytrzymał.

— On tam został — powiedział Lennon.

— Musimy go wydostać.

— Został, martwy.

Rawson schylił się. Prześlizgnął się po skałach i przez nurt wody, wycofał się na brzeg, z którego wyruszyli, przebiegł dziesięć metrów i przykucnął, słysząc koło siebie oddech Rheinmillera i Lennona. Schowali się na drodze, którą przed chwilą zjechali, i wsłuchiwali się w miarowy ostrzał z broni z góry, z przeciwległego brzegu strumienia.

— Rewolwery zamokły — oznajmił Rheinmiller. — Będziemy musieli to zrobić korzystając z karabinów.

Rawson policzył błyski karabinów, które widział.

— Wygląda na to, że jest ich tam czterech. Nie, ktoś jeszcze skrada się drogą, do koni.

Niczego nie widział, ale słyszał szuranie butów na żwirze w pobliżu wody, po drugiej stronie strumienia; wydawało mu się też, że słyszy więcej niż jednego człowieka. Mruknął:

— Za chwilę dostaną się do dyliżansu. Rozproszmy się. My sobie chwilkę poczekamy.

— Nie traf naszych koni — powiedział Rheinmiller i oddalił się.

Rawson wycofał się, aż natrafił na skalną ścianę; odczołgał się wzdłuż niej, stanowiąc nieosłonięty cel, gdyby ktoś posłał w niego kulę. Gdzieś tam, z czarnej czeluści wody, odezwał się głos, bardzo cicho przebijający się przez wrzący szum potoku na płytkich kamieniach, i zaraz potem strzały ucichły. Z góry poruszali się jacyś ludzie; nic nie widział, ale wyłapał bliższy szmer więcej niż jednego głosu i odwrócił głowę, by pochwycić te dźwięki i je umiejscowić. Byli wokół dyliżansu.

Uniósł broń celując w stronę dyliżansu i usłyszał ostry głos mówiący:

— Teraz.

Przez chwilę nie potrafił zidentyfikować dźwięku, który nastąpił po tym słowie - gwałtownego zgrzytu jakiegoś przedmiotu na skałach, plusku wylewającej się wody i gwałtownego uderzenia ciężkiego przedmiotu o żwir. W tej przestrzeni oczekiwania, z oczami wbitymi w nicość jaką miał przed sobą, wydawało mu się, że widzi, jak cień dyliżansu powiększa się i zmienia pozycję. Wtedy zorientował się, że ci ludzie, wszyscy razem, podnieśli pojazd z powrotem na koła. Wystrzelił nisko, by nie trafić w konie i trafić ludzi wciąż znajdujących się w wodzie.

Lennon i Rheinmiller, ze swoich kryjówek w ciemności, poszli w jego ślady, ich karabiny waliły w ciemność; jakiś głos zaczął coś mówić z dyliżansu i urwał na niedokończonym słowie. Konie ruszyły, pojazd przejechał przez bród, a ostry krzyk innego człowieka zmusił zwierzęta do

biegu. Wycelował na ślepo i nie wiedział, czy trafia za blisko, czy za wysoko. Odłamek skały ugodził go w twarz.

Upadł, przeczołgał się dwa metry i usłyszał kolejny pocisk uderzający w klif. Błysk karabinu odzywającego się po drugiej stronie wody, widoczny był nieco po lewej stronie, w drzewach na skraju urwiska. Padł na kolana i wycelował na ślepo, czekając. Lennon, po jego prawej stronie, próbował strzelać i ściągnął na siebie ogień któregoś z przeciwników. Rawson oddał strzał w ten malutki rozbłysk światła, który zgasł zanim jeszcze obrócił w jego stronę lufę swej broni. Natychmiast poderwał się i zmienił pozycję. Wkrótce nadeszła odpowiedź.

Dyliżans znajdował się na szczycie wzniesienia, w lesie. Rawson podniósł się, myśląc o przekroczeniu potoku, i przypomniał sobie o Rheinmillerze i Lennonie; jeśli pójdzie tam i narobi hałasu, stanie się ich celem. Zawołał:

— Bart, Dutch, chodźcie do mnie.

Rheinmiller nagle znalazł się u jego boku, nie wydając żadnego szmeru. Mokre buty Lennona zapiszczały nieopodal.

— Idę tam. Jeśli będziecie strzelać, strzelajcie wysoko.

— Pójdziemy tam wszyscy — zaproponował Rheinmiller.

— Poczekajcie, aż przejdę przez strumień.

Podczołgał się do wody i delikatnie zsunął się butami po skałach; nurt strumienia pluskający wokół jego nóg, powodował, jak mu się wydawało, większy hałas niż huk rozbijającego się dyliżansu. W środkowej części potoku zanurzył się w wodzie po biodra i walcząc z nurtem przesuwał się do przodu stopa po stopie; gdy tylko dotarł do żwiru na drugim brzegu, opadł na kolana. Odgłosy ludzi, którzy ich zatrzymali, przesunęły się w prawo. Czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia, a Rheinmiller mruknął:

— Co tam słyszysz?

W chwilę później uderzyły go stopy Lennona.

Niewidoczna w ciemności droga wspinała się krótkim podjazdem na szczyt urwiska, skręcała w prawo i biegła wzdłuż brzegu, wchodząc i wychodząc z gęstego lasu. Dyliżans znajdował się gdzieś za zakrętem. Rawson dotknął Rheinmillera i Lennona i ruszył biegnącą w górę drogą, a oni podążyli za nim. Na szczycie urwiska usłyszał wyraźniej ludzi i sapanie koni. Ktoś powiedział:

— Fay, chodź tu z powrotem.

Głos został zagłuszony przez szum potoku, ale słychać było go wystarczająco dobrze, by rozpoznać właściciela. To był George.

Ta informacja zaskoczyła Rawsona. Nie doceniał von Sterna; nigdy nie sądził, by mógłby on być zdolny do osobistego udziału w tak brudnej sprawie; to był przejaw zwykłego bandytyzmu, ukrywanego przez George'a za jego dobrymi manierami, za świeżą koszulą i schludnym ubraniem. „Już nigdy nie będę pewien swojej oceny żadnego człowieka”, pomyślał Rawson. Palec Lennona szturchnął go ostrzegawczo z prawej strony w żebra, i zastygł bezruchu, z na wpół uniesioną bronią. Ktoś szybko wyszedł zza drzew po lewej stronie drogi, przeszedł nie więcej niż piętnaście stóp przed nimi i ruszył w kierunku dyliżansu.

Rawson wystrzelił, słysząc jednocześnie huk broni obu swoich partnerów, którzy ruszyli do akcji pod wpływem tego samego instynktu.

Przechodzący człowiek wydał z siebie krótki, wstrząśnięty okrzyk, a Rawson, biegnąc w kierunku schronienia pobliskich drzew, usłyszał, jak pada on na ziemię. Rheinmiller i Lennon byli tuż koło Rawsona, przyciśnięci do sosen.

— Turk!

Nikt nie odpowiedział. Głos von Sterna dobiegł wyraźniej z bliższej odległości.

— Turk!

Przez las zaczął się oddalać tętent koni, a z kierunku dyliżansu rozpoczął się deszcz kul, uderzających w drzewa w pobliżu Rawsona. Wysunął się do połowy spoza sosny i posłał na domysł strzał do przodu; ale tętent koni odbiegał coraz dalej, a głosy, swobodniej nawołujące tu i tam, dolatywały z coraz większej odległości.

— Teraz nie rozdzielajmy się — powiedział Rheinmiller.

— Ten facet nie żyje, czy tylko udaje trupa? — zapytał Lennon.

Rawson zrobił kilka kroków i dotknął butów leżącego u jego stóp mężczyzny. Skierował karabin bezpośrednio w dół i kopnął w buty, nie uzyskując żadnej reakcji. Pochylił się, złapał rękę mężczyzny, uniósł ją i puścił.

— Nie udaje, Bart.

Cała trójka ruszyła dalej drogą, aż zaczął się przed nimi wyłaniać cień dyliżansu. Rheinmiller ruszył do przodu. Rawson skierował się do dyliżansu i wsadził do niego głowę przez drzwi. Mulvey wciąż był w środku, jego ciało leżało na podłodze, a jedna ręka była wyciągnięta do przodu. Twarz Rawsona uderzyła w zimne palce mężczyzny, a wstrząs wywołany tym zdarzeniem, odrzucił go do tyłu.

Powiedział:

— Cholera jasna! — A potem: — Mulvey, żyjesz?

Wydawało mu się, że to Mulvey wyciągnął do niego rękę. Dotknął jego dłoni i przesunął mu rękę do przodu. Usłyszał, jak Rheinmiller mówi do koni zaprzęgowych.

— Nie pojechali drogą — usłyszał głos Lennona. — Uciekli na zachód.

Rawson wspiął się na stopień dyliżansu, zbadał siedzenia i podłogę, po czym zszedł.

Rheinmiller zapytał:

— Jest tam coś?

— Nie - zabrali wszystko.

— Zwierzęta juczne — stwierdził Lennon. — Słyszałem za dużo hałasu jak na pięciu-sześciu jeźdźców. Gdzie jest Mulvey?

— Wciąż w dyliżansie.

Rheinmiller i Lennon podeszli do tyłu i trzej mężczyźni stanęli razem, zziębnięci i zamyśleni, wsłuchując się w ostatnie echa ginących w lesie jeźdźców.

— Mają dziesięć godzin drogi do świtu — powiedział Lennon.

— Wodze jucznych koni spowolnią ich — zauważył Rheinmiller.

— Nie będą uciekać przed siebie — dodał Rawson. — Znajdą sobie jakąś kryjówkę i nie będą się spieszyć. Przed nimi długa droga - sześćset lub siedemset mil, zanim będą mogli sprzedać to złoto gdziekolwiek, gdzie nie wpadną w kłopoty.

— Nie możemy nic zrobić przed świtem — stwierdził Rheinmiller - i potrzebujemy czegoś pod wierzch.

— Lepiej wróćmy do Lasswella.

Obrócenie dyliżansu zajęło kwadrans. Rawson odczepił osieroconego konia od zaprzęgu i puścił go luzem, wiedząc, że pobiegnie za nimi.

— Pójdę naprzód i ściągnę tego gościa z drogi.

Rawson złapał dyliżans, gdy ten przejeżdżał koło niego, wspinając się na kozioł obok Rheinmillera. Lennon jechał w środku z Mulveyem. Przekroczyli bród, pojechali wzdłuż wąwozu i niecałą godzinę później znaleźli się na podwórzu Lasswellów. Lasswellowie, słysząc ich z daleka, stali przy drzwiach, ale wiedzieli, o co chodzi i nic nie mówili, kiedy Rawson zeskoczył, by odczepić zaprzęg. Kiwnął Lasswellowi, by wziął konie i dołączył do Rheinmillera i Lennona. Cała trójka wyniosła Mulveya z dyliżansu.

— Ta piwnica na ziemniaki to suche miejsce — zaproponował Rheinmiller.

Położyli go na podłodze piwnicy, zamknęli drzwi i przeszli do dyliżansu. Pani Lasswell rozpaliła ogień i postawiła na nim czajnik z kawą.

— Gdzie jest gniady? — spytał Lasswell.

— Zginął w potoku.

— Najlepszy koń, jakiego mieliśmy.

— Powiedz to Mulveyowi — powiedział Rheinmiller niezwykle łagodnym tonem.

Evelyn znała szlak prowadzący grzbietami wzgórz aż do wielkiego pogorzeliska i wiedziała, że odjazd w bok na szlak do Deer Valley znajduje się bezpośrednio za nim. Zgubienie drogi wydawało się niemożliwe, lecz jazda w dzień i jazda w nocy, to dwie różne rzeczy, i chociaż obserwowała lewą stronę drogi w poszukiwaniu szlaku do Portugese Camp, który wiedziała, że musi przejechać, nie była w stanie nic zobaczyć w tych ciemnościach i po pewnym czasie zaczęła się zastanawiać, czy nie jeździ w kółko. Noc płatała jej figle, a gdy w końcu dotarła do szerokiej polany wypaleniska, poczuła ogromną ulgę. Pamiętając opis terenu Rawsona, przekroczyła pogorzelisko i szukała drogi po prawej stronie.

Jej koń go znalazł. Od tego momentu nie wiedziała nic o terenie, ale czuła, że każdy szlak prowadzący ze wzgórza w dół, prędzej czy później dotrze do drogi dla dyliżansów; a kiedy już tam się znajdzie, była pewna, że zna kierunek do Pennoyera. Przekonała się już, że w nocy czas płynie wolniej, a odległości wydłużają się dwukrotnie; tak samo wydawało się

teraz, gdy podążała za niekończącymi się zakrętami tej wąskiej ścieżki między sosnami, stale zmierzając w dół. Podłoże było śliskie od deszczu, a koń ostrożnie stawiał kroki, czasem zatrzymując się na zakrętach, by zrobić krótki kroczek w bok.

Wkrótce zapachy otaczającej ją nocy stały się ostrzejsze, szum wiatru zrobił się jakiś inny, a cienie przybrały innego odcienia. Koń poślizgnął się i wykonał krótki skok, który na wpół wyrwał ją z siodła. Poślizgnął się po raz drugi, obrócił się gwałtownie, uderzył zadem o drzewo i wydał z siebie trąbiące rzężenie. Nie miała szans aby się wyprostować. Wyciągnęła rękę by chwycić się łęku siodła, chybiła, a w następnej chwili została wyrzucona w powietrze; poleciała na podstawę pnia, spadła na jakąś ostrą gałąź, a koń musnął ją jedną nogą, wykonując prawie pełne koło wokół siebie. Spod jego kopyt dobiegły ciężkie ssące odgłosy i ochlapała ją błotnista woda; usłyszała pogłębiający się wysiłek oddechu zwierzęcia, przyspieszającą panikę, gdy walczył z bulgoczącym błotem, w które się ześlizgiwał. Następnie – przepełniając ją czystym przerażeniem – koń wydał z siebie zduszone i sapnięcie dławienia i upadł bez ruchu.

Zjedli śniadanie przed świtem i wyprowadzili trzy konie ze zmiany zaprzęgu, z których dwa były kiedyś używane pod siodła; trzeci był nieznanego pochodzenia.

— Przybiegł z pustyni — powiedział Lasswell.

Na tego konia Rawson założył jedno z siodeł; zwierzę chwyciło solidnie wędzidło i odchyliło uszy do tyłu, gdy przekładał przez nie ogłowie. Rawson szybko wskoczył na siodło, a koń po dotknięciu piętą zerwał się do energicznego biegu. Rawson zatoczył krąg i wrócił na podwórze.

— Obaj jesteście już starsi wiekiem — powiedział do Rheinmillera i Lennona. — Weźcie siodła. Ja pojadę na tym, na oklep.

Wrócili do chaty, by wyjąć mokre ładunki ze swoich rewolwerów i przeładować je suchym prochem Lasswella. Pożyczyli od niego kapiszony, pozostały proch i łuski. Ponownie wyszli na podwórze.

W świetle lampy chaty pojawił się poważny młody człowiek o zaczerwienionych policzkach i podkrążonych od nocnej jazdy oczach. Powiedział:

— Doberek ludzie — i zjechał na dół. — Mój Boże, jaki ja jestem głodny.

— Wybierasz się gdzieś? — spytał Rheinmiller.

— Do Dalles.

— Śpieszysz się?

— Chcę się tam dostać — odparł młody mężczyzna.

— Dzień lub dwa opóźnienia nie mają dla ciebie większego znaczenia?

— No cóż — odpowiedział młody człowiek — wolałbym dotrzeć tam wcześniej. — Gorąca bezpośredniość spojrzenia Rheinmillera podziałała na niego. — Ale mogę się trochę opóźnić, bez większej szkody. Dlaczego pytacie?

— Właśnie straciłeś konia i siodło na ten czas — wyjaśnił mu Rheinmiller.

Rawson pokręcił przecząco głową.

— Tylko siodło — powiedział i podszedłszy do wierzchowca młodego mężczyzny, przeniósł jego siodło i uzdę na czekającego obok świeższego konia ze zmiany zaprzęgu.

Byli gotowi; założyli na siebie płaszcze i podnieśli się, by stawić czoła porankowi, którego pierwsze światło miało kolor kawy parzonej ze starych fusów. Droga biegła dwadzieścia metrów przez łąkę i znikała w ciemnościach; góry wciąż były tylko rozmazanymi cieniami, pozbawionymi widocznego tła nieba. Rawson popatrzył na panią Lasswell stojącą we drzwiach.

— Masz coś do jedzenia, co mogłabyś wrzucić nam do worka?

Odwracając się zwlekała na tyle długo, by poinformować ich o swojej niechęci, i zniknęła w chacie. Lasswell powiedział łagodnie:

— Musicie wybaczyć tej kobiecie, chłopcy. Miała ciężkie życie.

Młody mężczyzna zastanawiał się nad swoim ekwipunkiem.

— Gdzie będę mógł odebrać to siodło?

— W Ophirze — odparł Rheinmiller, — za kilka dni.

Lennon wpatrywał się przez chwilę w Rheinmillera, a wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki humoru.

— Może za kilka dni i może w Ophirze.

Rawson zapytał:

— Potrafisz powozić czterema końmi?

— Potrafię pojechać wszystkim — odparł młodzieniec.

— Poprowadź dyliżans do Ophiru. Lasswell pomoże ci zaprzęgnąć i wsadzić Mulveya.

— Kim jest Mulvey?

— Był człowiekiem.

Kiedy dotarli do brodu, było już wystarczająco jasno, by mogli przeszukać wodę.

— Jestem pewien — powiedział Rawson — że trafiliśmy na jednego z tych gości, gdy stawiali dyliżans z powrotem na koła. Słyszałem, jak chrząknął.

Ale nic nie znaleźli; albo strzał nie zranił poważnie tego nieznanego im człowieka, albo, jeśli go zabił, został on zabrany przez wodę gdzieś w dół strumienia.

Znaleźli leżącego na zakręcie drogi nad brodem Turka; z trzech strzałów oddanych niemal jednocześnie w kompletnych ciemnościach, jeden sięgnął celu - kula trafiła go pod lewym uchem i wyleciała mniej więcej w tym samym miejscu po prawej stronie. Nocny deszcz przemoczył mu ubranie i wybielił skórę na twarzy, a on sam leżał na ziemi jak jakiś obdarty, poskręcany kształt, nie mający w sobie więcej godności niż martwe zwierzę.

— Jak się nazywał? — zapytał Lennon.

— Turk. Nie znam jego imienia.

— Dzieciak, który nie potrzebował imienia — stwierdził Lennon. — Samo nazwisko wystarczało do tych wszystkich interesów, jakie musiał tu robić.

— Trafiliśmy jeszcze kogoś innego — powiedział Rawson. — Tam.

Podszedł do drzew po lewej stronie drogi i bezskutecznie je przeszukiwał. Pozostała dwójka udała się w miejsce, gdzie stał dyliżans, a kiedy do nich dołączył, zobaczył w rozkisłym błocie ślady zarówno obcasów, jak i kopyt, przemieszczające się we wszystkie strony, przeplatające się, nakładające się jedne na drugie, aż cały ten niewielki teren wyglądał jak strona drukowanego pisma, zamazana przez czyjąś szorującą dłoń. Lennon i Rheinmiller szli w kierunku zachodnim, próbując uchwycić zapisaną na ziemi historię.

Rheinmiller w końcu stwierdził:

— Nie mogę tak do końca powiedzieć, ale myślę, że mamy przed sobą pięciu jeźdźców. I sześć jucznych koni.

— Konie juczne — zauważył Lennon, — to znaczy, że wiedzieli, że będziemy transportować cały ładunek złota. Ktoś w Ophirze musiał na to wpaść.

— To George — odparł Rawson.

Dosiedli koni i ruszyli śladem wydeptanych tropów. Prowadziły one na zachód przez kilkaset metrów, docierały do podnóża wzgórz i zawracały okrężną drogą, aby równolegle do wąwozu powrócić na wschód, do Deer Valley; jednakże tuż przed samą doliną wycofały się w głębsze partie lasu i o dziesiątej tego ranka, kierując się w górę zbocza jednego z wychodzących nad dolinę wzgórz, wjeżdżały na szlak prowadzący wierzchołkami grzbietów. W tym kierunku leżał Ophir. Po południu ślady zaprowadziły ich do wypaleniska, skąd zaczęły schodzić w kierunku bagien.

— Niech mnie diabli, jeśli rozumiem dlaczego — oznajmił Rheinmiller.

— Te ślady znikną gdzieś nagle, a ty będziesz mógł pogadać sobie sam do siebie.

— Po prostu pokaż mi takie ślady, za którymi nie będę potrafił pojechać.

Chmury były gęste i ponure; przez cały dzień nie było widać ani śladu słońca, a gdy przedarli się przez pogorzelisko i dotarli do wyraźnego szlaku prowadzącego ze wzgórz do doliny, deszcz zaczął padać kroplami wystarczająco grubymi, by wskazywało to na solidną ulewę. Światło dnia chyliło się ku zachodowi, gdy dotarli do rozwidlenia i zobaczyli ślady skręcające w prawo. Rawson wskazał na lewą odnogę szlaku.

— Ten prowadzi do drogi dla dyliżansu, koło Millera.

Pojechali w prawo, wzdłuż nierównej dolnej części zbocza wzgórza, pomiędzy coraz mniejszymi sosnami i coraz bardziej gęstniejącymi zaroślami; ziemia pod końskimi kopytami robiła się coraz bardziej wilgotna, jakby znajdowały się w niej jakieś ukryte źródła. Na odcinku ćwierci mili, w sposób widoczny, drzewa zaczęły chorować, niektóre z nich miały obumarłe wierzchołki, a inne, od dawna martwe, stały ogołocone z igieł i kory, pokryte srebrną bladą pleśnią. Szlak wykonał krótki skręt,

ominął małą wysepkę twardej ziemi i bez ostrzeżenia skończył się przed nieruchomą, ohydną sadzawką wody. Dalej wystawały kolejne małe wysepki, a martwe i umierające drzewa, przechylone lub powalone, tworzyły prawdziwą dżunglę, jak okiem sięgnąć.

Rheinmiller przyglądał się temu przez dłuższą chwilę i studiował ślady, które tak zdecydowanie kończyły się na krawędzi wody.

— Na pewno do niej nie wjechali. Gdzieś muszą być dalsze tropy.

— To nasza mała robótka — powiedział Rawson. — Ale popatrz na to. Gdybyś wysłał tu w pościg za nimi nawet tysiąc górników, wszyscy skończyliby na tych wyspach, krzycząc o pomoc. Kiedy George zdecyduje, że nadszedł na to czas, będzie mógł się wymknąć i uciec w dowolnym kierunku. To cholerstwo ma cztery strony i zanim znaleźlibyśmy jakieś ślady, mogłyby one mieć już nawet i tydzień.

— Musi tu być jakiś szlak i muszą być ślady — stwierdził Rheinmiller.

— Za późno dziś na dalsze polowanie — powiedział Rawson.

Deszcz zgęstniał i wilgoć przesiąkła mu przez płaszcz; pozostała dwójka siedziała w siodłach także ponura i zamyślona.

— Nie lubię spać poza domem — narzekał Lennon.

Rawson zaproponował:

— Objedźmy szlakiem do domu Millera. To jakieś schronienie.

Gdy wrócili do rozwidlenia szlaków, na niebie pozostało już niewiele światła; było już zupełnie ciemno, gdy zjechali na dno doliny i zobaczyli przed sobą nieoświetloną chatę Millera. Ruszyli do niej, utrzymując przybudówkę jako osłonę między sobą a chatą. Rawson zszedł na sam dół i ruszył do przodu. Otworzył tylne drzwi i stanął na chwilę z boku, nasłuchując. Zawołał:

— W porządku — i wszedł do środka.

Wkrótce pojawili się Rheinmiller i Lennon. Rheinmiller miał worek z jedzeniem.

— Moglibyśmy rozpalić ogień — powiedział Lennon. — Ale lepiej tego nie robić. Spróbujmy tego żarcia.

Zjedli po ciemku i znaleźli wodę do picia w wiadrze, na ławce z tyłu chaty. Kiedy skończyli, Rawson odwrócił się do drzwi.

— George nigdy nie lubił zimna i może rozpalą jakiś ogień. Przejadę się drogą i zobaczę, czy znajdę jakieś ślady.

— To niezbyt dobry pomysł — odparł Rheinmiller.

— Jeśli coś zobaczę, zawrócę. — Potem jednak zmienił zdanie. — Nie, jeśli coś zobaczę, spróbuję podejść bliżej. Jeśli nie wrócę, pojedźcie rano moimi śladami.

Poszedł do koni, dojechał do drogi i sto metrów od chaty wcisnął się w bagno. Nie było widać żadnego światła.

Gdy minął pierwszy szok spowodowany wypadkiem, Evelyn wyrzuciła z głowy wrażenie, że sama też ześlizgnie się zaraz do wody i rozluźniła nacisk rąk i ciała na ziemię, nieco zniesmaczona paniką, która na tę krótką chwilę ją opanowała.

Usiadła, odnotowując ból posiniaczonego boku, i przesunęła się do przodu, aż jej stopa dotknęła uginającego się błota. Jej natychmiastową reakcją było cofnięcie się i podciągnięcie nóg pod siebie, podczas gdy ogarnął ją ponowny, nieco mniejszy strach. Odwróciła się i poczołgała do przodu, ale natychmiast zatrzymała się i przejechała dłonią po ziemi, aby stworzyć jakiś znak, który zidentyfikowałby to konkretne miejsce, którego była pewna. Dotknęła spróchniałego pnia i ruszyła dalej. Pomyślała: „Nie mogę zostać tu przez całą noc" i próbowała sobie przypomnieć, z jakiego kierunku przyprowadził ją koń. Wydawało jej się, że było to po lewej stronie, ale wiedziała, że koń wykonał część obrotu, zanim ją zrzucił i mogła się mylić. Przeczołgała się w prawo i znów natrafiła na błoto; wycofała się na pień, aby się zorientować, i tym razem spróbowała w lewo. Doszła dalej i przez chwilę myślała, że znalazła drogę, ale ziemia pod jej rękoma i kolanami zaczęła wypełniać się wodą, a wyciągając ręce w każdą stronę, wyczuwała wszędzie w pobliżu tylko błoto.

Deszcz padał nieustannie, miękki i mokry, i do rana jej ubrania przemokłyby na wskroś. Mogło minąć dziesięć godzin, a może nawet i więcej, zanim uda jej się znaleźć drogę wyjścia z bagien, a ona już zaczęła trząść się z zimna.

Nie mogła opanować drżenia ciała; otoczyła ramionami klatkę piersiową i schowała dłonie pod pachami. Twarz zrobiła jej się sztywna, jakby zamarzła pod grubą warstwą błota. Ponieważ nie była w stanie się na niczym skupić, celowo starała się, by jej umysł był pusty. Po jakimś czasie przestała się trząść i poczuła chwilowy napływ ciepła. Wysiłek jednak zmęczył ją i wiedziała, że zanim nadejdzie dzień, wyczerpie całą swoją energię. Próbowała ocenić upływ godzin. Podzieliła noc na jakieś subiektywnie wyznaczone godziny i nie mogła się doczekać, kiedy każda z nich się skończy. Poruszała się niespokojnie; w końcu stała się zbyt odrętwiała, by się ruszyć. Siedziała więc bez ruchu i trwała.

Minęło chyba tysiąc ciągnących się w nieskończoność lat, i rozmaite bagienne stworzenia, wyczuwając zbliżające się światło dnia, zaczęły się poruszać; najpierw zobaczyła niewyraźny zarys znajdującego się przed nią pnia, potem w niektórych miejscach jej wzrok zaczął sięgać coraz dalej w głąb drzew, a otaczająca ją woda zalśniła ciemnym blaskiem. Podniosła się, otępiała, i oparła dłoń na pobliskim drzewie. Niewielki skrawek gruntu, na którym stała, wydawał się być całkowicie otoczony bagnem, wiedziała jednak, że koń którędyś tu przejechał, i ruszyła w obchód tego miejsca, aż zobaczyła, że czerń wody ustępuje miejsca czemuś zielonemu, znajdującemu się tuż pod powierzchnią. Znalazła krótki patyk i pochyliła się, by zbadać to miejsce; dno było lepkie, ale nie tak miękkie jak błoto w innych miejscach. Za tym zielonym przesmykiem, w odległości co najmniej sześciu stóp, znajdował się kolejny pagórek, a za nim wydawał się być już twardy grunt.

Zebrała się na odwagę i weszła do wody. Gdy tylko poczuła, że jej but więźnie, wycofała się i stała przez chwilę w kompletnej niepewności.

„Ale jeśli zrobię jeden długi krok, resztę tej odległości będę mogła już przeskoczyć."

Ponownie włożyła stopę do wody, nie obciążając jej, zebrała się w sobie i zrobiła dwa szybkie kroki. Zapadła się po kostki, przestraszyła się i popędziła dalej tak szybko, że upadła na znajdującą się przed nią twardą ziemię. Kiedy podniosła się, by spojrzeć przed siebie, odkryła, że dalsza droga wcale nie jest lepsza niż przedtem, ponieważ woda otaczała również i tę miniaturową wysepkę. Potem, całkowicie zniechęcona, pomyślała, że rozumie co się dzieje. Nocny deszcz podniósł poziom bagien, zatapiając to, co w najlepszym razie było kiepską ścieżką.

Gdzieś w oddali rozległ się jakiś odgłos, który jednak zlekceważyła, przyzwyczaiwszy się wcześniej do innych nic nie znaczących dźwięków. Uznała, że musi stać twarzą na wschód, ponieważ jasność przed nią wydawała się silniejsza; jeśli była to prawda, to poruszała się w kierunku łąki Pennoyera - a ponieważ bagno było szerokie na cztery mile, a ona weszła na nie w połowie jego szerokości i z pewnością przebyła milę, nie powinna być dalej niż o milę od bezpiecznego schronienia. Odgłosy, które usłyszała już wcześniej, powtórzyły się i nie ustawały. Zatrzymała się, obracając głową, by je zlokalizować, i nagle przez gęste zarośla wydało jej się, że widzi sznur ludzi i koni brodzących przez bagna. Wzięła długi wdech, by krzyknąć, lecz powstrzymała się:

„To głupie - widzę jakieś nieistniejące rzeczy”.

Zaczęła drżeć, na wpół bojąc się o swój umysł, na wpół z nadzieją. Zamknęła oczy, ale odgłosy robiły się coraz głośniejsze, aż w końcu usłyszała wyraźnie głosy ludzi. Otworzyła oczy i bez wątpienia zobaczyła rząd jeźdźców.

„To niemożliwe - tam jest tylko błoto i woda.”

A jednak grupa ludzi zbliżała się do niej, jakby po twardym szlaku. Pochyliła się do przodu, naliczywszy czterech ludzi, a kiedy rozpoznała jeźdźca na czele, powstrzymała okrzyk i pozwoliła, by oddech cicho wydostał jej się z płuc; upadła na płask za jakąś kłodą drewna; przyglądała się, jak grupa pokonuje odległość czterdziestu stóp i zmierza dalej, prowadzona przez George’a von Sterna, z jadącymi za nim Fayem Millerem i Tilsonem, oraz jakimś czwartym mężczyzną, którego nie znała, na końcu procesji; wszyscy gromko używali głosów, aby poganiać sześć jucznych koni, z których każdy miał przytroczoną jakąś skrzynię z ładunkiem.

Leżała tak, dopóki nie zniknęli w cieniu po jej lewej stronie. Usłyszała ostatnie szmery ich głosów i pomyślała:

„Przez te bagna prowadzi szlak. Jest tuż przede mną.”

Podniosła się na kłodzie i zaczęła iść naprzód, obawiając się, że może go przegapić, ponieważ szary zmierzch, który przedtem zbliżał się tak powoli, teraz zaczął nadchodzić znacznie szybciej.

Mniej więcej piętnaście minut po wjeździe na bagna Rawson zobaczył ogień; nie jego wyraźny obraz, a jedynie blask - i to nawet nie jakiś wyraźny blask, lecz raczej zakłócenie w panujących tu ciemnościach, które poza tym pokrywały wszystko niczym nie rozjaśnianą atramentową

czernią. Blask był widoczny po jego prawej ręce i najwyraźniej gdzieś znacznie głębiej w bagnach, a w miarę jak jechał naprzód, odrobinę się wzmacniał. Przejechał kolejną milę, co stanowiło już razem niemal połowę rozmiarów podtopionego obszaru, stale sprawdzając położenie źródła ognia, aż znalazło się ono bezpośrednio z prawej strony. Tutaj zatrzymał się, gdyż dotarł do miejsca, z którego odchodził boczny szlak przez bagna, tak tajemniczo kończący się wpół drogi. Było to jedyne znane mu podejście do ogniska, ale nie podobało mu się ono, pamiętał bowiem, że podczas wcześniejszych poszukiwań doprowadziło go ono do ślepego zaułka. Koniowi ta perspektywa również się nie spodobała i powoli zaczął wykręcać do tyłu. Zawrócił go ponownie. Ogień był najlepszym przewodnikiem, jakiego kiedykolwiek miał, a za dnia miał zniknąć. Bez takiego punktu orientacyjnego mógłby przejechać o pięćdziesiąt stóp od tych ludzi i nawet ich nie zobaczyć.

Pchnął konia na szlak, który przez krótki czas był dosyć łatwy do przebycia, ponieważ opierał się na twardym gruncie. Nie trwało to jednak zbyt długo i gdy tylko koń poczuł, że grunt robi się niestabilny, zatrzymał się zdecydowanie, nie dając się przekonać do dalszej jazdy. Rawson wycofał się na niewielką odległość, sprowadził zwierzę ze szlaku i przywiązał je do wykrotu; następnie wyjął z kabury przy siodle karabin, sprawdził ilość amunicji, jaką miał w kieszeni, i ruszył dalej pieszo. Po pokonaniu trzech kroków, przypomniał sobie jeszcze o zwiniętej linie przytroczonej do pasków siodła, wrócił po nią i wyruszył ponownie. On również czuł, że ziemia pod nim się zmienia, ale istniało wyraźne wyżłobienie wyznaczające szlak i od czasu do czasu macając stopami, udawało mu się śledzić jego krawędzie i podążać za coraz bardziej krętym jego biegiem, od jednego pagórka do drugiego.

Przez ciemność przedarł się jakiś odgłos, wyłaniając się z kompletnych ciemności, z taką gwałtownością, że natychmiast odskoczył na bok i schował się za pniem, jego stopy znalazły się w wodzie i powoli zaczęły tonąć, aż złapały twarde oparcie na jakimś korzeniu. Odezwał się jakiś głos:

— Niech prowadzi koń — a niedaleko rozległ się plusk końskich kopyt.

Spojrzał w stronę blasku i nie zobaczył niczego, odwrócił głowę w stronę ciemniejszej części bagna i całkiem blisko usłyszał nadjeżdżających. Z ciemności wyłonił się jeden niewyraźny kształt, a za nim drugi, oba tak blisko niego, że mógłby dotknąć koni dłonią; w następnej chwili znalazły się już za nim, zmierzając w kierunku drogi dla dyliżansu. Głos, który się odezwał, wydawał się być głosem Tilsona; głos drugiego mężczyzny, który teraz narzekał, nie był mu znany.

— Nie jedź tak cholernie szybko.

Rawson wrócił na szlak i ruszył dalej. Teraz miał dwóch ludzi za sobą i może dwóch lub trzech przed sobą. Światło nie znajdowało się już w kierunku na wprost, ale w prawo, a im dalej podążał szlakiem, tym bardziej się od niego oddalał. Być może szlak zataczał w drodze do ognia dużą pętlę, bo z pewnością dwaj jeźdźcy musieli przyjechać z tego obozowiska; jednak po kwadransie dalszego poruszania się po omacku, znajdował się dalej od blasku niż przedtem. W tym momencie zdecydował,

że musiał przeoczyć jakąś boczną gałąź szlaku. Zawrócił i podążał przed siebie, aż znalazł się mniej więcej w miejscu, w którym był w czasie przejazdu jeźdźców. Sądząc po blasku, był to najbliżej położony punkt do ogniska i zaczął chodzić tam i z powrotem w poszukiwaniu szlaku, który przecinałby bagno w stronę ognia. Nic nie znalazł i przez chwilę siedział przykucnięty, próbując rozwikłać tę zagadkę, w międzyczasie nasłuchując dobiegających z ciemności odgłosów.

„Nie”, pomyślał, „ten szlak musi tam dalej gdzieś zawracać”, wstał i ruszył przed siebie. Po raz kolejny blask ogniska zamigotał już daleko za nim, lecz po chwili poczuł, że szlak zakręca. Zatoczył półkole wokół pagórka i znów skręcił. Rawson otarł się łokciem o jakąś kłodę, uderzył kolanami o kolejną. Osunął się na pośladki, obserwując teren tuż nad ziemią, na tle jaskrawego blasku ognia i zobaczył wszędzie dookoła sylwetki powalonych drzew, pnie pochylone pod zupełnie szalonymi kątami. Wiatr, uderzając w tę plamę zgnilizny, położył wszystko na ziemię. Szlak wiódł przez te wykroty, czasem przeciskając się wąsko między leżącymi kłodami i robiąc tak ostre zakręty, że zastanawiał się, jak koń mógł poradzić sobie z przejściem tędy. Znów zbliżał się do ogniska, którego blask skupiał się teraz wyraźnie w centralnym punkcie. Tam, za częściową osłoną rzadkich zarośli i karłowatych sosen, zdawała się znajdować wyspa o większych rozmiarach, wystająca ponad błotem, kryjówka zabezpieczona przez otaczające ją wody i dostępna tylko tym szlakiem.

W miarę jak posuwał się coraz dalej, prześlizgując się kompletnie zawaloną kłodami drewna ścieżką, która zmieniała kierunek co dziesięć lub piętnaście stóp, zaczął od czasu do czasu za kępami drzew dostrzegać samo ognisko, niewielkie ognisko, które było wyjątkowo jasne dzięki czerni otaczającej je nocy. Szlak przez krótki czas kierował się bezpośrednio w jego stronę, zbliżył się do niego na tyle, że w końcu zobaczył leżących przy ogniu dwóch ludzi, po czym skręcił; w następnej chwili Rawson uderzył na wysokości klatki piersiowej w plątaninę drewnianych kłód i choć cierpliwie szukał przez co najmniej pięć minut, nie mógł znaleźć żadnego przejścia. Gdzieś minął właściwy skręt i dotarł do kolejnego ślepego zaułka.

Złapał się kłody i ruszył wzdłuż niej, prosto w kierunku ognia. Kłoda poprowadziła go w dół, do wody; cofnął się o kilka stóp, przeszedł do innej kłody i podążał za nią, aż ta się również skończyła, po czym zapadł się w bagnistą ziemię, z jedną ręką przewieszoną przez kłodę, dla wsparcia. Przed nim, w blasku ognia, sterczała wywrócona masa korzeni, z której kilkanaście połamanych odrostów czepiało się bagna, niczym zdesperowane palce tonącego olbrzyma. Ocenił, że znajduje się dziesięć stóp od wykrotu, oddzielony od niego pasem wodnistego błota, które mogło być miękkie jak papka i głębokie jak Chiny. Nie wiedział, jakie ono będzie, ale zbyt długo skradał się przez te bagna i był zbyt blisko ognia, by teraz się zatrzymać.

Przełożył broń i linę na jedno ramię, zrobił krok do przodu z ręką wciąż wiszącą na kłodzie; błoto było miękkie, ale nie aż tak bardzo miękkie. Zwolnił uścisk na kłodzie, zrobił kolejny krok naprzód i nagle znalazł się w

bagnie po kolana; przeszył go lodowaty strach, pochylił więc ciało i z całej siły szarpnął rękoma za jedną stopę, wyciągnął ją i postawił daleko przed sobą. Rozciągnął się tak mocno, że aż go zabolało krocze; uniósł tylną stopę, wyrzucił ją do przodu i zamachnął się ręką, usiłując złapać za jakiś uchwyt na wykrocie. Na nic nie trafił. Był po kolana w błocie i wciąż tonął, a kiedy uwolnił jedną nogę, musiał odchylić się na bok, by ją wyciągnąć dalej. Nie mógł uwolnić drugiej nogi; zacisnął wargi, chwycił mocniej broń i linę, głupio trzymając te rzeczy, które w tej chwili nie były mu do niczego przydatne, sięgnął ręką po uchwyt na leżącym pniu i tym razem złapał za jeden z korzeni. Ten pękł pod jego ciężarem. Pochylił ciało jeszcze bardziej, złapał się dalszej części korzenia i zawisł na nim. Odciążywszy nogi, przestał tonąć; na leżąco podciągnął się bliżej do pnia, tak że jego klatka piersiowa zanurzyła się w błocie. Zaparł się kolanem o solidniejszą półkę ziemi, na której wspierało się położone drzewo, i podciągnął za sobą drugą nogę. Przeczołgując się wokół sterczących korzeni, spojrzał teraz przez pas ciemnego błota i piachu, na skrawek wyższego terenu, na którym płonęło ognisko.

Zobaczył stojące na przeciwległym krańcu wysepki konie. Fay Miller przykucał nad ogniskiem, z twarzą zwróconą w jego stronę. Zobaczył, jak von Stern wygląda znad płomieni, przygląda się otaczającym je ciemnościom i pyta Millera:

— Słyszałeś to?

— W tym miejscu — powiedział Miller — można usłyszeć dosłownie wszystko. Część z tych odgłosów jest prawdziwa, a część siedzi tylko w twojej głowie. George, dlaczego posłałeś Tilsona i McLarneya z powrotem do mojej chaty?

— Po dodatkowe żarcie. Pewnie zostaniemy tu przez jakiś czas.

Światło ognia oświetlało twarz Millera, pokazując na niej sceptyczne rozbawienie.

— Dlaczego wysłałeś tych dwóch? Dlaczego nie mnie? Boisz się, że mógłbym coś tam zmajstrować, podczas mojej nieobecności?

— Mógłbyś — stwierdził von Stern. — Mamy tu tyle złotego piasku, że każdemu mogłoby zakręcić się w głowie.

— Oni mogą mieć równie dobre pomysły jak ja — zauważył Miller. — Mogliby podczołgać się tutaj, stanąć gdzieś w tych drzewach i załatwić nas paroma strzałami.

— Możliwe — zgodził się von Stern.

— Zdawałeś sobie z tego sprawę, kiedy ich odsyłałeś. A więc, George, do dzieła.

— Sądzę — zaproponował von Stern — że powinniśmy ograniczyć tę imprezę do dwóch ludzi.

— Dzięki temu będziemy musieli się martwić tylko sobą nawzajem.

— Nie — odparł von Stern. — Nie będziemy mogli pozwolić sobie na spory. Aby wydostać się z tej okolicy nie potrzeba czterech ludzi, ale dwójka jest niezbędna.

— Oni pewnie myślą o tym samym.

Von Stern wskazał za ogień.

— Wrócą z tamtego kierunku, co?

— To wyjście ze szlaku — zgodził się Miller.

Von Stern popatrzył w dół na siedzącego Millera. Jego głos zabrzmiał bardzo łagodnie.

— Za chwilę odejdziemy więc od ognia i poczekamy. Zgadzasz się, Fay?

— Czekałem na twoją propozycję — odparł Miller. — Jesteś w porządku, George. Miałem pewne wątpliwości, ale jesteś w porządku.

Wyspa, na której byli, wystawała co najmniej na trzy stopy ponad bagno, a jej krawędź znajdowała się w odległości pięćdziesięciu stóp od wykrotu, o który wspierał się Rawson. Pomiędzy kępą a wyspą znajdował się kanał pokrytego wodą błota, który wydawał się nie do przebycia; żaden pagórek nie pozwalał mu tutaj na porządne odbicie, a drzewo leżało równolegle do wyspy, nie dając możliwości przedostania się przez bagno. Okrążył wachlarz sterczących korzeni po jego zacienionej od ognia stronie, przełożył ramię przez drzewo i poczołgał się wzdłuż jego zwężającego się pnia. Usłyszał głos von Sterna.

— Lepiej będzie, jeśli teraz ogień nieco przygaśnie.

— Nie za bardzo — zauważył Miller. — To by ich zaintrygowało. Tilson myśli całkiem szybko.

— Tilson to cholerny głupiec.

— Człowiek robi się bardzo mądry, gdy myśli o swojej skórze.

Trzydzieści stóp dalej wzdłuż pnia, Rawson zatrzymał się, by przepatrzeć powierzchnię błota. Kępa zarośli wzdłuż brzegu tej strony wyspy osłaniała ognisko tak mocno, że na bagno kładł się ciemny jak ropa naftowa cień; w poprzek tego cienia widoczna była jakąś smuga, jak ukryte żebro. Opuścił stopy w błoto i poczuł, że zapadają się lecz uderzają o twarde podłoże; to była jakaś kolejna kłoda drewna spoczywająca pod powierzchnią bagna. Oparł się o nią i ruszył naprzód. Stanął butem na sęku i na chwilę się zachwiał; przykucnął, aby złapać równowagę, i po chwili ruszył dalej na ugiętych nogach. Im dalej się posuwał, tym głębiej spoczywała kłoda, aż w końcu zanurzył się w błocie na stopę; dalej z kłody wystawała martwa gałąź, a gdy ją ominął, jego but nie znalazł już dalej twardego wsparcia. Dotarł do kolejnego ślepego zaułka, dwadzieścia stóp od wyspy. Wziął linę, przywiązał jej koniec do martwej gałęzi i szarpnął za nią na próbę. Gałąź wytrzymała. Opuścił się w błoto, powoli zanurzając się w nie, aż zapadł się powyżej bioder. Zakołysał się w górę i w dół, wydawało się, że nie zapadnie się bardziej - najwyraźniej było to dno, chyba że po drodze trafi na jakąś miękką głębszą kieszeń. Wyprostowując się, zaczął przesuwać nogi o pół stopy na raz, walcząc z gumowym oporem błota.

Na wyspie von Stern powiedział:

— Muszę zrobić więcej kawy. Nie mogę pozbyć się chłodu z kości.

— Nawykłeś do miękkiego życia.

Rawsonowi wydawało się, że przepycha przed sobą pół bagna, a wysiłek wywołał skurcze nieużywanych mięśni gdzieś poniżej bioder. Zatrzymał się i zaczął tonąć, zdał sobie sprawę, że nie może ryzykować ponownego zatrzymania; pod nim było jakieś głębsze miejsce. Poluzował linę, i ruszył dalej; zastanawiał się, czy martwa gałąź o którą był

zaczepiony wytrzyma duży nacisk w przypadku, gdyby musiał się podciągać. Gdzieś w oddali usłyszał dwa ciche, słabe wystrzały, potem jeszcze dwa, a potem kolejny. Pomyślał: „Tamci wpadli na Rheinmillera i Lennona.” Znał odpowiedź na nasuwające się pytanie – bandyci nie żyli i nie wrócą. Jego stopy złapały twardsze dno i wyciągnął się na solidny brzeg wyspy.

— Jakieś kłopoty, tam — powiedział von Stern.

— Rawson musiał obserwować chatę.

— Tak sobie myślałem, że może — zgodził się von Stern.

Rawson rozsunął przed sobą zarośla, przeczołgując się przez nie bokiem. Upadł na kolano, spoglądając wprost na płaski środek wyspy, na ogień, plecy von Sterna i nachyloną twarz Millera. Uniósł karabin, opierając łokieć na zgiętym kolanie, po czym opuścił go na chwilę, by przeczekać drżenie przeciążonych mięśni nóg i uspokoić oddech.

— Szybko nas dogonili — zauważył Miller. — Spodziewałem się tego. Ale bliżej już nie podejdą.

— Rawson wie coś o tych szlakach?

— Niewiele.

Rawson ponownie oparł karabin na kolanie i wycelował w plecy von Sterna.

— George — powiedział — mam cię na celu. Odwróć się. Wstawaj, Fay.

Miller eksplodował jak naciągnięta sprężyna, wyrzucił się obiema nogami do przodu, by roztrącić ogień, i natychmiast przetoczył się w bok. Von Stern również odskoczył na bok i rzucił się płasko na ziemię. Kula Rawsona go nie trafiła.

Rozrzucony ogień przestał zalewać światłem całą wyspę; sto małych ogników płonących przy samej ziemi rzucało tylko cienkie, niewielkie światło. Stracił z oczu von Sterna, który skrył się gdzieś w zaroślach po drugiej stronie wyspy, ale Miller wciąż był w zasięgu wzroku, wciąż się przetaczał. Oddał do niego strzał i usłyszał krzyk. Zanotował trafienie, ale wiedział, że to nic poważnego, bo natychmiast zabrzmiały wyzywające słowa Millera.

— George, ten człowiek to moja zdobycz - zabiję go i obedrę ze skóry. — Potem jego poekscytowanie opadło, a głos się zmienił. — Postrzeliłeś mnie w nogę.

Zamilkł, a Rawson, wpatrując się w rozrastające się cienie, nic nie widział; Miller wyczołgał się poza zasięg światła. George nie dał żadnego znaku życia.

Miller odezwał się ponownie, z narastającym niepokojem w głosie.

— Rawson, muszę przewiązać sobie czymś tę nogę, zanim się wykrwawię. Rzucę broń koło ognia.

Rewolwer uderzył w ziemię w pobliżu ogniska, a węgle żaru zaczęły skakać wokół niego. Rawson obracał głową z boku na bok, nasłuchując ruchu von Sterna.

— Rawson — powiedział Miller — muszę dostać się w miejsce, w którym będę coś widział. Nie mogę czekać. Skończyłem z tym.

— Gdzie twój karabin? — zapytał Rawson.

Wycofał się z zarośli, przesunął się w prawo i przykucnął nisko, by uchwycić wszystko co poruszyłoby się w słabnącym świetle resztek ogniska.

— Karabin jest przy moim koniu — powiedział Miller. — Nie strzelaj do mnie - czołgam się w stronę ognia.

Rawson ponownie przesunął się w prawo. Szedł na czworakach, zarośla osłaniały go od środka wyspy. Dotarł do kolejnej leżącej kłody i oparł się o nią.

— Wszystko w porządku, Rawson? — zawołał Miller. — Zamierzam się ruszyć.

Rawson wychwycił za sobą leciutki trzask łamiącego się patyka, odwrócił się i zobaczył wyrastający z zarośli cień. Cień skręcił, zgęstniał, skręcił ponownie, i ogień rewolweru bluznął lancą wymierzoną prosto w niego. Kula uderzyła mocno, plaskając o kłodę jak wymierzająca policzek dłoń; Rawson przetoczył się przez kłodę i oddał do cienia dwa strzały, słysząc w międzyczasie tupot butów Faya Millera o ziemię i jego wysoki głos:

— Bierz go, George - rozwal go!

Miller biegł pewnie na nogach, obie były w pełni sprawne, i pędził do przodu; wystrzelił, gdy tylko dotarł do zarośli, przedarł się przez nie i był już blisko, wyrastając potężnym cieniem, gdy Rawson strzelił do niego; nogi poniosły go jeszcze aż do kłody i tam upadł.

Rawson popatrzył za kłodę, nic nie zobaczył i przeczołgał się wokół Millera, kryjąc się i przesuwając wzdłuż krawędzi zarośli, aż znalazł się w miejscu, w którym Miller był kilka chwil wcześniej. Przykucnął, wsunął się w zarośla i czekał. George wykorzystał szarżę Millera do zmiany pozycji. To był ten George, którego nie znał, ten tygrysi rys dziwnie wychodził z dobrze odżywionego mężczyzny, który zawsze nosił białe koszule i wolał wygody swojego saloonu.

Uniósł karabin wyżej i położył palec na spuście, delikatnie muskając go opuszkiem; był jak myśliwy polujący na kaczki, czekający na zerwanie się ptaka w powietrze. Nasłuchiwał i usłyszał słaby pisk błota pod ciałem George'a, cicho się rozpoczął, szybko ustał. George był lisem, George czekał, aż stanie się nieostrożny. Rawson czekał nieruchomo, lecz ten bezruch było to dla niego zbyt dużo i nienawidził siebie za takie kucanie w zaroślach jak łowna zwierzyna, a nie myśliwy, i nagle wstał, zrobił trzy szybkie kroki i upadł.

Huk wystrzału karabinu von Sterna trzasnął mu w uszach, kula przeleciała tuż nad nim. Przetoczył się i powiódł bronią dookoła. Zobaczył kolejny rozbłysk w zaroślach, ten pocisk przeszedł dalej niż pierwszy. Strzelił w miejsce ognia przeciwnika, podniósł się i ruszył do przodu, rzucił się w bok, po czym oddał drugi strzał i zobaczył cień von Sterna. Oddał trzeci strzał w kierunku mężczyzny; wiedział, że ten trafił w cel; ale zastanawiał się, dlaczego George wcześniej tak spaprał swoją robotę. Ponownie nacisnął spust i nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Stojąc w miejscu, zobaczył, jak von Stern osuwa się na kolana i przewraca, a zarośla przytrzymują go by nie upadł na ziemię. Podszedł do niego, pochylił się, by złapać karabin von Sterna i odrzucić go na bok.

— George — powiedział. — George.

To była chwila, na którą czekał ze strachem. Ten człowiek był mu kiedyś bliski i jeśli przyjaźń miałaby cokolwiek znaczyć, powinna coś po sobie pozostawić - wspomnienie dobrych dni lub gorycz świadomości, że żadna lojalność nie jest w stanie przeciwstawić się upływowi czasu, zmianom, czy podstępnym czarom jakiejś idei. Ale nie pozostało nic. Kiedyś był głupim młodzieńcem, który zbyt beztrosko zawierał przyjaźnie. Teraz był już mądrzejszy; nie był już młodzieńcem.

— Hugh — powiedział cichy głos z oddali. — Hugh, widzę cię. Chodź i wyciągnij mnie stąd.

Obrócił się i pobiegł przez pustą ziemię i zarośla do czarnego brzegu wyspy. Powiedział:

— Gdzie jesteś?

— Tutaj, na kłodzie.

Dwadzieścia stóp dalej, Evelyn siedziała okrakiem na samym końcu kłody, ciężar jej ramion spoczywał na podpierających je rękach; silniejsze światło ogniska ukazywało na jej twarzy lunatyczny wyraz.

— Dasz radę jeszcze wytrzymać?

— Jestem strasznie zmęczona, Hugh.

Nie mógł jej dosięgnąć od tej strony. Pobiegł wzdłuż brzegu wyspy, aż znalazł wąski grzbiet prowadzący w ciemność. Ścieżka zaczynała się tutaj, prowadząc go dalej od Evelyn, aż zniknęła z pola widzenia; ale do tej pory przyzwyczaił się już do tej dziwnej niekierunkowości i uważnie obserwował lewą stronę szlaku w poszukiwaniu pierwszej oznaki zmiany sytuacji.

Upadła przy ognisku, gdy tylko się przy nim znalazła i leżała na wpół skulona, z rękami wyciągniętymi do płomieni, z zamkniętymi oczyma i twarzą tak luźną, że wyglądała jak jakaś zupełnie niepodobna do siebie inna kobieta. Podszedł do koni, odpiął dwa siodła i wrócił z przypiętymi do nich zrolowanymi kocami. Oparł rolki o nią, lekko ją uniósł i rozwinął koce pod nią na ziemi. Zawisła martwym ciężarem w jego rękach, mruczała przez nadchodzący sen.

— Czy jest trochę wody?

Wziął kociołek na kawę, który leżał wywrócony w pobliżu ogniska, podszedł do położonego na ziemi plecaka i odkrył zapas jedzenia przestępców. Wsypał do garnka wystarczającą ilość kawy dla całego tłumu ludzi i nabrał czystej wody z bagna. Spała, gdy powiesił kociołek nad ogniem, leżała cała zupełnie swobodnie, z wyjątkiem rąk; te spoczywały wyciągnięte w kierunku ciepła, zgięte w łokciach, tak jakby musiała utrzymywać jakąś część ciała na straży. Jej ubranie parowało, małe plamy błota zaczęły szarzeć, w miarę jak wysychały; buty zmieniły się w twarde bryły błota, a ubranie, ramiona i twarz były całe nim wymazane. Obserwował drobne zmarszczki na jej twarzy, gdy spała - powierzchniowe fale dziwnych burz przetaczających się w jej wnętrzu. Pozwolił by kawa gotowała się przez dobre piętnaście minut i odstawił kociołek na bok, po

czym okrążył wyspę w poszukiwaniu drewna. Znalazł kłodę z dużą martwą gałęzią, a kiedy ją odłamał, rozległ się ostry trzask, który ją obudził.

Przyniósł jej kawę, trzymając kociołek, gdy piła.

— Och, jaka ona dobra. Ta kawa jest wspaniała, Hugh.

— Skąd się tu wzięłaś?

— Niechętnie ci to mówię. Carrico został zabity na szlaku wyjeżdżając z miasta zeszłej nocy - nie, poprzedniej nocy... George opuścił miasto przed tobą, ale ty o tym nie wiedziałeś. Chciałem ci o wszystkim powiedzieć, ale pojechałam szlakiem po szczytach wzgórz i dotarłam tutaj. Siedziałam tam, na pniu. Widziałam wszystko.

Rozłożyła lekko ręce i opadła na ziemię, zamykając oczy. Spała, ale chociaż ogień ogrzewał ją mocno z jednej strony, drżała, a jej twarz wydawała się niespokojna. Położył się obok niej, okrywając ją kocem; poruszyła się i wzięła go w ramiona, a on patrzył, jak jej usta się uśmiechają. Pochylił głowę, pocałował ją i leżał bez ruchu.

Z nadejściem pierwszego brzasku poranka obudził go głos huczący ochryple na bagnach; wstał by odpowiedzieć, rozpoznając Rheinmillera. Odkrzyknął mu, ale zanim podniósł się na nogi, spojrzał na nią i zobaczył, że się budzi; była rozluźniona i ciepła, uśmiech wygładził jej usta, a kiedy otworzyła oczy, popatrzyła prosto na niego, szukając go tak, jakby jej myśli ani na chwilę nie opuściły go tej nocy.

KONIEC